

# PARA CZERWONA.

Obrazek współczesny

narysowany z natury

przez

B. Bolesławitę.

All is true.



Tom I.

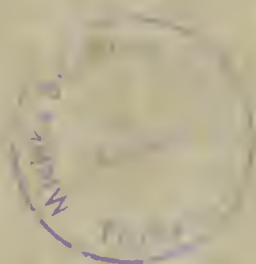
---

LIPSK.

w komissie A. Wienbracka.

1865.

Kraus-554



J. I. Kraszewski „Para czerwona”; Obrazek współczesny narysowany z natury przez Bolesławitę. Lipsk 1865  
dedykowana Paulinie Wilkońskiej

*Myśl Pana*

Pani Paulinie Wilkońskiej

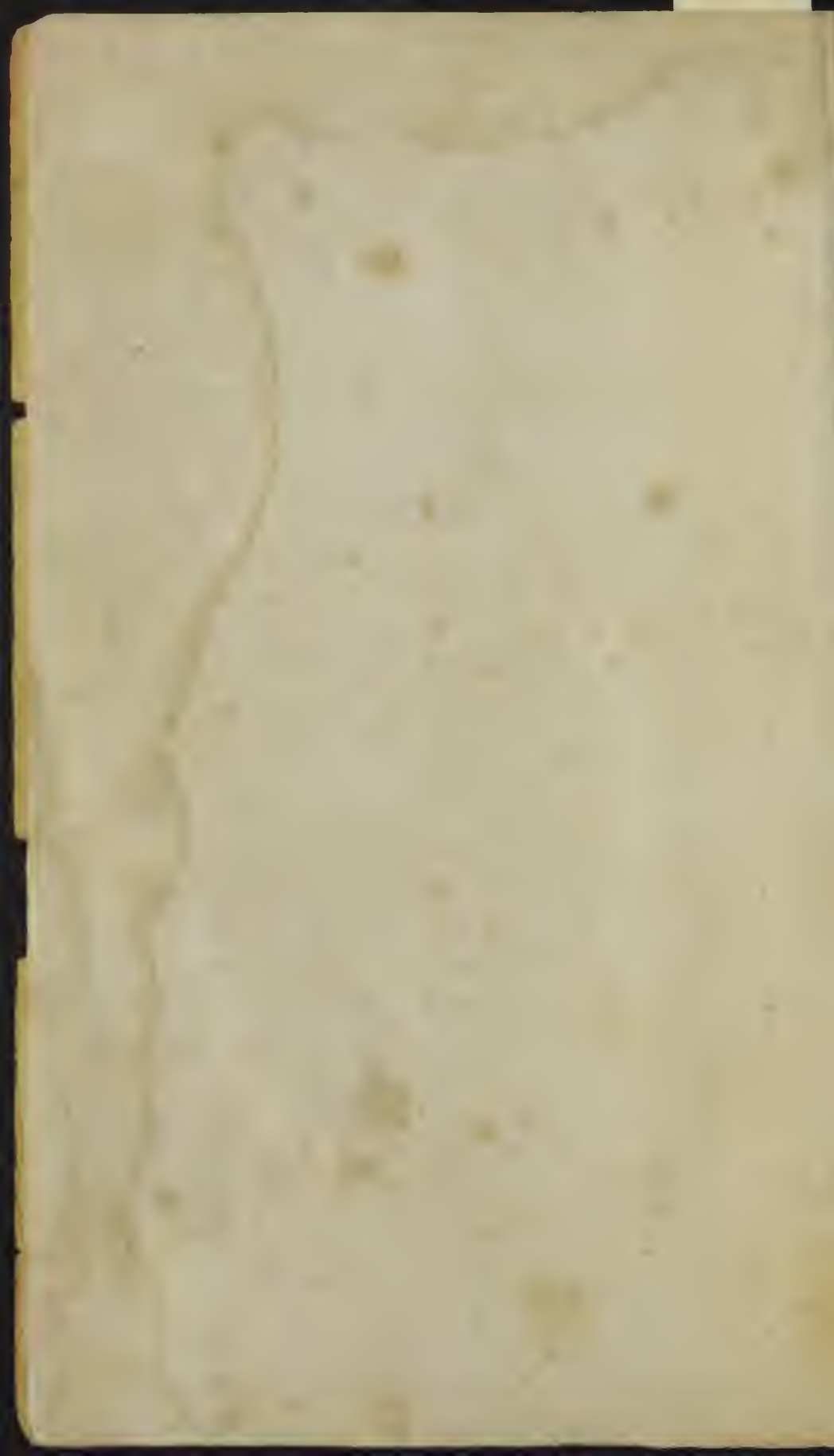
na znak poważania i szacunku

przesyła

B. BOLESŁAWITA.

Warszawa,

d. 29. Listopada 1864.



W owiej błogosławionej epoce, między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem gdy rząd rosyjski zadławiwszy nieszczęśliwą Polskę, korzystając z bezładu, niepokoju i bezsilności Europy, gospodarzył w niej po swojemu, sławny generał Abramowicz był jedną z tych potęg gniotących, przed którą najśmielsi drżeć musieli. Zamożny obywatel Litewski, niegdyś waleczny żołnierz polski, powoli zszedł on na narzędzie tyrańskiego ucisku i służył Moskałom nie pytając już sumienia o znaczenie swoich czynów. Gabinet Abramowicza w gmachu Teatralnym, którego był dyrektorem i wszechwładcą, znają wszyscy co choć na chwilę przybywali do Warszawy w czasach jakiego niepokoju. Dość było ażeby w Europie wywrócił się lub przechylił jeden z tych kruchych stołków, które nazywają tronami, zwiększała się natychmiast czujność policji, na prowincji i w War-

szawie, a każdy przybywający odbierał zaproszenie aby się stawił w naznaczonej godzinie u jenerała Abramowicza. O godzinie dziesiątej potrzeba było iść we fraku, meldować się sługusom, a potem, czekać w wązkim przedpokoiku dopóki pan jenerał nie raczył dopić herbaty z rumem, i nie wyszedł czerwony, wyegzaminować nieszczęśliwego przybylcę.

Była to tylko naturalnie ceremonja przeznaczona do utrzymania w ryzie, uległości żołnierskiej i poszanowaniu władzy, nieszczęśliwej ludności krajowej. Jenerał przybierał postawę wszechwiedzącego mistrza policji, któremu żadna z tajemnic serca ludzkiego nie jest zakrytą, magnetyzował oczyma, badał fizjonomję i dawał czuć, że jest panem życia i śmierci.

W istocie najłżejsze posądzenie mogło zaprowadzić do cytadeli, najmniejszy pozór mógł wysłać na Sybir, a w braku obojga, lada kaprys, można było opłacić więzieniem, nadzorem policyjnym lub internowaniem na prowincji.

Na czele wszystkich prawie wydziałów zarządu krajowego stali tacy Abramowicze, Okuniewy, jenerałowie i exjenerałowie z władzą nieograniczoną, których jedynym celem i zadaniem było wytępiać buntowniczego ducha. Tępiono go



też, nie oglądając się na środki, w starszych i w młodzieży, rządząc Królestwem po wojskowemu, to jest bezprawnie, surowo. i niełómacząc się z czynności. Muchanów rozkazywał dziennikarzom w niedostatku nowin politycznych pisać o morskim wienz'u, łącząc szyderstwo do ucisku, w szkołach uczono historii polskiej pisaną przez Moskali, na pokojach księcia namiestnika schylone tylko, lecz powyżłacane haftami widać było grzbiety.

Jest jednak opatrność co czuwa nad uciśnieniami narody, w samej tyranji kładnie ona przeciwko niej antydotum; ucisk zbydlęca słabych, wyrabia posłuszne narzędzia z podłych, ale dusze silniejsze, hartuje. Sprawia on obrzydzenie, utrwała nienawiść złego, w końcu doprowadzony do ostateczności zwraca się przeciwko ciemężycielom. Epoka, która poprzedziła dobę dzisiejszą, ciekawą jest do studjowania jako jej rodzicielka. Ledwiebyśmy nie powinni być wdzięczni, że nas do snu nie kołysano, że rozbudzono męczarnią, że drażniono bezrozumnym uciskiem.

Za panowania liberalnego Aleksandra I. widzieliśmy już tym liberalizmem pobalamucone najzdrowsze głowy, Osiński pisał Ody do Moskali, Staszic pocziwy rozprawy o potrzebie przejedna-

nia się z niemi, a zacny Kurpiński komponował heroiczne polonezy na wjazd owego wskrzesiciela Polski, który w istocie wiele zabił, a nic nie wskrzesił.

Panowanie Mikołaja kosztowało nas wiele łez, ale dla sprawy krajowej było w istocie błogosławioném. Aleksander miał w sobie chytróść Greka, Mikołaj dzikość Mongoła, z dwójga pierwsza była dla nas niebezpieczniejsza. Kto zna charakter nasz narodowy, ulęknie się raczej słodczy mamiącej niż szczerego a okrutnego prześladowania. Polacy, którzy już za panowania Aleksandra gotowi byli się z Moskalami godzić, za Mikołaja do zapalczywego śmiertelnego usposobili się boju. Spokojne sny i marzenia uleciały, rewolucja 1831 r. rozbudziła, ucisk już więcej usnąć nie dawał. Starano się młodzież oglupić, zżolnierzyć, zaszczepić rozpustę, a wyrobiono w niej potężnego ducha oporu, który nie mogąc objawić się na zewnątrz, nabierał sił utajonych w głębi. Brak nauki zastępywały przekradane książki, przekradane rozumy, przekradani ludzie, i rozłamywana jak opłatek, przechowywana jak świętość, miłość, miłość nieszczęśliwej Ojczyzny. Zakładając owe szlacheckie instytuta i kadeckie korpusy, Mikołaj myślał ująć dzieci w żelazne kluby mili-



tarne, na naszej ziemi wyrosły one w ogniska rewolucyjne.

Można je było porównać, z przeproszeniem, do owych pieców garncarskich, do których kładną tysiące na pozór jednakowo wylepionych garnuszków, a z których silniejsze wychodzą kamieniem, a słabsze tylko czerepami. Tak było i z młodzieżą: kto miał w sobie jaką kropelkę jadu lub szczerbę rodzimą, ten w tym piecu spopielał, lub poszedł w druzgi, ale co lepszego, kształciło się na charaktery wielkie, nie moralnością wpajaną, ale tą, którą instynktowie znajdowało w antytezie tego co im nakazywano. Każdy z kolebki wynosił niewiarę przeciw drapieżnym ciemieżycielom, nieufano ani im, ani tym co byli z ich ręki wyznaczeni, ani temu co oni wykładali. Wszystko zabronione stawało się pojętnem i chciwie chwytanem, to co nakazywano, wstrętnem.

W poszukiwaniach zasad, których jej brakło, młodzież mogła się mylić często, rzucając się w antypody tego co urzędowa moralność za prawo podawała, ale w głębi dusz ludzkich jest wrodzone poczucie prawdy, które do niej prowadzi.

W ostatnich latach swojego urzędowania, generał Abramowicz, syt strachu, który rozsiewał,

honorów, dostojenstw, pieniędzy i teatralnych rozkoszy, zdziecinniał trochę pod panowaniem Gwozdeckich, zesłabł, i trafiało się czasem, że na gatunek Polaka chorował. Przychodziły mu wspomnienia dawne wojskowe, co dziwniej, usiłował zasługą swoją jako dyrektora teatru zatrzeć pamięć służalstwa oberpolicmajstra. Bywał grzeczny i łagodny, i, jak później pan Margrabia tłumaczył się ze swojej roli socjalizmem rewolucji naszej, tak ów uniewinniał się sprawą porządku społecznego.

Temat to zresztą nie był nowy, grywali z niego warjacje wszyscy nasi wielcy ludzie, utrzymując, że gdy Rosji zwyciężyć nie możemy lepiej przykłęknąć, knut pocałować, o przeszłości zapomnieć i stać spokojnie w szeregu.

Jednego z tych ranków gdy generał dyrektor teatru, po herbacie z rumem i widzeniu się z panną Gwozdecką, był w jakimś różowym humorze, oznajmiono mu pułkownika Z. z synem. Generał zawahał się zrazu czy przyjąć, bo bywał obarczony prośbami, a nie lubił towarzystwa tych, których mustrować i lajać nie miał prawa.

— Co tam za pułkownik Z. i czego on może chcieć odemnie? mruczał pod nosem, zażywając tabakę i faworyta pieska odtrącając nogą, na-

zwisko nie jest mi nieznane; miałżeby to być kapitan Z., z któremśmy służyli razem? tak to chyba on. Ale z synem? pocóż tam ten syn? czyby chciał wstąpić do teatru? nie rozumiem, a no, prosić, rzekł do służącego.

W chwilę potem ukazał się na progu mężczyzna zapewne siwy ale z doskonale pomalowanymi na kasztanowato włosami; z wąsikami wyszwarcowanymi do góry, we fraku z rożenkiem orderów w pętlicy, mały, pękaty, w ogóle podobny do dużego harbuza. Na uśmiechniętej jego fizjonomji w maleńkich oczkach i zaokrągleniu policzków, jakby ztężałym uśmiechem, widać było zadowolenie z samego siebie, i tę pewność, że cały świat z posiadania go szczęśliwym czuć się musi.

Za nim szedł wyprostowany jak struna, nieśmiały, zahukany, ale wynuskany, delikatny, ładny, młody chłopczyk.

Na widok Abramowicza, który stał przybrawszy wyraz mumijski zastygły i nieruchomy, pulkownik zatrzymał się uśmiechnięty i nie mówiąc słowa, czekał jakby wybuchu radości z jego strony. Grubo się jednak zawiodł, bo Abramowicz zrobił minę kwaśną, prawie obrażoną, i czekał urzędowego powitania, które mu się należało. Pul-

kownik, widać nie głupi człowiek, zmiarkowawszy co się święci, zmienił wyraz twarzy, skrył nieukontentowanie z zawodu, którego doznał i, pokorniejszą ułożywszy postawę, zbliżył się, nie już jak do dawnego towarzysza broni, ale jak do znakomitego dostojnika Mikołajewskiego.

— Panie jenerale, rzekł z wielką pokorą i wymuszoną grzecznością, którą chciał zapłacić pierwszą swą niefortunną postawę. Niech mi wolno będzie przypomnieć się po długich latach jako podkomendnemu i towarzyszowi broni.

— A no, tak! Zarazem sobie waćpana przypomniał gdy mi nazwisko powiedziano, zwano cię w pułku k a r t a c z e m ?

— Miły Boże! cóż to za pamięć pana jenerała! jak mego Boga kocham, tyle lat!

— No! siadajże, rzekł jenerał dosyć zimno ale grzecznie.

— Nie wpród, aż będę miał to szczęścia panu jenerałowi mojego jedynaka zaprezentować.

Chłopak uklonił się nisko.

— Piękny chłopiec, a czemu aspan nie oddasz go do wojska?

— Eh! bo to matka wychuchała na pieszczoska, zdrowia delikatnego, jakby mu przyszło to



znosić cośmy my przebywali djabliby nieboraka wzięli.

— A cóż myślisz z nim robić?

— Otóż to właśnie, przywiozłem go tutaj, dokończywszy edukacji żeby się w mieście przetaił i do obywatelskich posług nałożył. Umieszczę go w Towarzystwie Kredytowem albo gdzie w biurze, a ponieważ w mieście ma zostać, chciałem go polecić względem i opiece pana jenerała.

Jenerał spojrzał z pod oka na chłopaka, zażył tabaki i, z razu nic nie odpowiedział.

— A gdzie się wychowywał? rzekł potem.

— Skończył szkoły w kraju, trochę potem podróżował, rzekł ciszczj pólkownik.

Ostatnie wyrazy chmurą powlokły widocznie czoło Abramowicza. W owych czasach gdy murem chińskim chciano Polskę odgraniczyć od Europy, gdy pasporta ogromnym cłem były obłożone, a wyjazd młodzieży wzbroniony zupełnie, każdy co powąchał powietrza nieprzesyconego dziegiem moskiewskim był już w mocnem podejrzeniu zarazy. W przekonaniu ich z zagranicy przychodziło wszystko złe, złe książki, złe zasady, zła rozbujalność, zła cywilizacja, — wszystko dobre i błogosławione rodziło się i płynęło z Rosji. Młodzieniec mimo swego skromnego pozoru wydał się



już Abramowiczowi podejrzanym, mógł gdzieś za granicą będąc przeczytać jaką książkę zakazaną i stracić uszanowanie, które był winien prawej władzy, jenerał nawet nie utulił swój myśli.

— Pocóżś go aspan wysyłał za granicę? wiesz co to ta młodzież z tanitął przywozi?

— Ale za mego syna ręczę, żywo podchwycił pułkownik, który o mało z krzeselka nie spadł chcąc wyrazistym ruchem poprzeć swoje twierdzenie, ręczę za mego syna, że się nie zepsuł. Jest wychowany w dobrych zasadach, a nade wszystko co do poszanowania prawej władzy i starszych, które w niego wpoilem, mogą się nim pochłubić.

— Otóż to tego właśnie najwięcej naszej młodzieży braknie, rzekł Abramowicz, znowu dobywając się do złotej tabakierki; dopóki nas mości dobrodzieju za najmniejsze przewinienie w skórę tego prażyli, wszystko było dobrze, teraz świat do góry nogami, młodzież myśli tylko o rewolucjach. . . .

— Ręczę za mego syna, panie jenerale honorem wojskowym, że pod tym względem może za wzór służyć młodzieży.

— Niechże się strzeże w tem miścisku żeby

z hałastrą uliczną się nie wdawał, bo mu tu zaraz głowę przewrócą.

Rozmowa trwała jeszcze chwilę, delikatnie przetykana wspomnieniami przeszłości, które pan pułkownik tak zręcznie dobierał, ażeby się zbyt z teraźniejszością nie kłóciły. Abramowicz przekonawszy się, że stary towarzysz broni nic od niego, prócz jakiejś idealnej opieki nie żądał, w końcu się zupełnie rozdobruchał, rozweselił, nazajutrz pułkownika z synem na obiad do siebie zaprosił, przyrzekł mu niekiedy na baletnicze arcydzieła, gratysowy bilet do krzesła, i biorąc do serca nadzór nad synem starego towarzysza broni, oświadczył mu, że co dwie niedziele z obowiązku ma się stawić u niego, i bywać na obiadach. Pułkownik był uszczęśliwiony, wdzięczność jego posunęła się aż do łez, o które zresztą nie było mu trudno, bo ile razy śmiać się mocniej zaczął zawsze się niemi oblewał.

Zjadłszy ów obiad u Abramowicza, od którego żołądek wiejski nie przywykły do gorącej kuchni, mocno później szwankował, pułkownik, pewien że synowi zapewnił bardzo zaszczytnego protektora, odjechał na wieś spokojny w sumieniu, a pan Edward pozostał w mieście przyczepiony do kancelarji Towarzystwa Kredytowego,

później łaskawie umieszczony przy biurze Towarzystwa rolniczego.

W obu młody człowiek nie wiele miał do czynienia, zostawało mu dość czasu na poznanie świata, ludzi, i zrobienia sobie w mieście stosunków.

Tym, którzy czytali *Dziecię starego miasta*, pan Edward obcym już nie jest; wiedzą oni z jak szlachetnym popędem usiłował się wcisnąć na woskowane posadzki nie rozróżniając nóg, które po nich stapały.

Edward należał do tych młodych ludzi, którzy największymi ofiarami gotowi są okupić przypuszczenie do tak zwanych lepszych towarzystw. Przypomina to nam niestety bardzo prawdziwą historję tego młodzieńca, którego bliska krewna znalazła w Paryżu niesłychanie wyelegantowanego, ale dziwnie zbladłego i wychudzonego.

Po pewnych symptomatach, które oka kobiecy doświadczonej ujść nie mogły, poznała, że kuzynek był prawie do omdlenia głodnym.

Przerażona, nakarniwszy go naprzód, zaczęła wypytywać o powody tego niedostatku, w tak dziwniej będącej sprzeczności z wytworną powierzchownością młodzieńca.

— Ciociu dobroduszko, rzekł przyciśnięty ele-

gant, gdybym się nie morzył głodem za cóżbyrn na dzisiejszy bal białe rękawiczki kupić?

Historja tych białych rękawiczek powtarzała się w różny sposób nie jeden raz przed oczyma naszymi. Jedni je kupowali pracą, drudzy głodem, inni upokorzeniem, dobrze jeśli nie sumieniem jeszcze. Młodzież chorująca na paniczów, na niby arystokrację, na elegancję, na lwistość, na dobry ton, na francuzczyznę, dopuszczała się nie raz cichych występków, wielkich i małych podłostek byle się tam dostać gdzie bywał wybór towarzystwa. Wśród tego wyboru byli wprawdzie z rzadka i wyborni ludzie, ale w ogóle składał się z wszelkiego rodzaju kalek moralnych, paralityków umysłowych, niedołęgów, i niedołęgiń, którym francuzczyzna i porządne ubranie, nadawały pozór przyzwoitych ludzi. Dobre towarzystwo chociaż nie wypierało się imienia polskiego, miało patryjotyzm *sui generis*, protegowało sztukę narodową, trochę literaturę (jeśli przypominała francuzką), przebierało się w kontusze na maskarady i żywe obrazy, chlubiło przodkami, ale brzydziło wszelką rewolucją, która mogła narazić na ofiary, zażądać pieniędzy, wysuszyć worki, i zamącić tę błogą szezęśliwość, którą dawały przyjazne stosunki z zamkiem, bale dla



Gorzakowa, i laska Najjaśniejszego Pana. Wyższe towarzystwo okrutnie brzydziło się demagogją, socjalizmem i we wszystkim upatrywało ich ślady. Zarażony tą chorobą był z niego na wieki wykluczony. W ogóle nad dobrą francuzczyzną, przyzwoitą odzież i jakie takie znalezienie się, więcej dla przypuszczenia na salony nie wymagano, ale świadectwo o zasadach zachowawczych kandydata do uczęszczania w wyższych towarzystwach było warunkiem niezbędnym. Socjalizmem i demagogją straszili się wszyscy jak dzieci wilkiem, dosyć było chcąc kogoś odepchnąć rzucić nań podejrzenie o nowatorskie przekonania. W rzeczach obyczajn, sumienia, życia prywatnego byle nazbyt nie było coś krzyżącego, towarzystwo wyższe bardzo pobłażliwem się okazywało, ale nie przebaczyło nikomu co nie był monarchicznym i katolickim, nie koniecznie w życiu ale w głośno objawionych zasadach. Wolno było żyć jak chcąc, ale należało pokazywać się na mszy, protegować Felicjanki, i szanować arystokrację jako wyrazicielkę i symbol monarchizmu i miłości porządku społecznego. Holdując niby postępowi i chrześcijańskiej miłości dla ludu, fundowano ochronki i szkoły wiejskie aby w nich szczepić zbawienne zasady, posłuszeństwa i usza-



nowania dla starszych i przez samego Boga fundowanej na wiek wieków nie równości stanów.

I były pewne oznaki, po których poznawano skrytych demagogów, arystokracja jak rząd miały w podejrzeniu długie brody, długie włosy, excentryczne ubrania, słowem wszystko, co wybitniej cechując indywiduum, zwracało nań zbyt nieoczy tłumu.

Ze strony rządu i tych panów była w tem pewna instynktowa loika, człowiek który nie słucha praw mody, może i z innych być nie content. Brak francuzyzny dawał się domyślać jakiegoś niskiego tajemniczego pochodzenia, bo wiadomo, że zubożały półpanek może dziecko w świat puścić bez polskiej ortografji, i bez wszystkich grafji, ale mu francuzyznę musi dać w posagu. Ile ludzi pożeniło się samą francuzyzną tego zliczyć nie podobna; wolno największe głupstwa mówić ale trzeba je wypowiadać piękną francuzyzną.

Stare to dzicje te nasze narzekania na galomanję, język to wszakże potrzebny ale nie powinien zastępować całego wychowania. Anglicy w ogóle mówią bardzo źle lub wcale nie mówią po francuzku, jednak im wysokiej cywilizacji odmówić nie można.

Edward jakby się urodził do zajęcia miejsca w tej wyższej społeczności, do której tak się sku-  
sił. Jadąc do Warszawy marzył tylko jak o naj-  
wyższym szczycie zabiegów, o balach na zamku  
i wieczorach u pp. Augustów Potockich. Z tych  
dwóch skrajnych wyrazów można się już domy-  
ślić, że dla niego wyższa społeczność rosyjska czy  
polska stała zupełnie na równi, po ojcu czy po  
matce, tego nie wiem, odziedziczył on charakter,  
którego główną cechą była, jeśli tak się nazwać  
godzi — zalotność.

Edward potrzebował podobać się wszystkim  
w ogóle, nie narażać nikomu, i gotów był do naj-  
większych ofiar, byle być dobrze widzianym. Ro-  
zumie się, że ta słodycz charakteru tylko się do  
ludzi sfer wyższych stosowała. Co się tycze tłu-  
mu, gawiedzi, hałastry ulicznej i tém podobnie,  
(gdyż Edward tym z kim nie żył nazwisk obel-  
żowych nie żałował), był dla nich więcej niż obo-  
jętnym, — pogardzającym i zinnym. Za to nie  
było miłszego, gładszego, słodszeo człowieka dla  
tych, których potrzebował, nad pana Edwarda.

Natura dała mu instynkt pochlebcy, zwin-  
ność dworaka, potulność żebracza, i uśmiech mio-  
dowy, którym witał często nawet gorycze jeśli  
z góry płynęły.

Taki człowiek nie mógł się nie podobać, tam zwłaszcza gdzie wszelka niezależność charakteru uważa się za grzech śmiertelny; trudniejsi mówili nań, że jest trochę za miękki, ale chwalili jako bardzo dobrego chłopaka.

Przybywszy do Warszawy, chociaż czas jakiś bawił za granicą, a wyraz bawił ma tu ściśle określone znaczenie, Edward nie przywiózł z sobą żadnego zdania wyrobionego o ludziach i świecie, była to *tabula rasa* gotowa przyjąć wszystko co na niej napiszą, znał się na ostrygach i na winach, ale nie na zasadach. Za wyrocznią służyło mu to wyższe towarzystwo, do którego postanowił piąć się tak mozolnie, przyjął więc od niego barwę ortodoxji i konserwatyzmu, brzydził się najokrutniej wszystkim co tchnęło wywrotem społecznym. Ażeby nie być wziętym za demokratę, podgalał brodę, zostawując tylko wąsiki i faworyty angielskie.

Mówiliśmy już, zdaje mi się, że Edward był wcale ładnym chłopakiem, fizjonomja jego wprawdzie zbyt przypominała woskowe figurki perukarzy, ale stworzoną była do salonów, wśród których nie razila wcale. W duszy miał się za Antynousa i był pewien, że wszystkie wielkie panie

kochać się w nim muszą, obiecując sobie zdobyć tą pięknością posag przynajmniej miljonowy.

Nie wiedział biedny o tem, że od stu lat przynajmniej wszystkie panny kochać się przestały i równie gonią za majątkami jak kawalerowie za posagiem. Tymczasem marzeniem było pana Edwarda być ukochanym miłością wielką, czystą, szaloną, namiętną, straszną, tragiczną. Przeglądając się w zwierciadle przy rozdzielaniu starannem włosów i zawiązywaniu chustki, utwierdzał się najmocniej w tem przekonaniu, że obudzi jakąś namiętność.

Niekiedy w ulicy próbował rzucać wejrzenia, pewien, że każde śmiertelną zada ranę, jednakże ofiary jego wdzięków cierpiały w takiej skrytości, że winowajca o żadnej dowiedzieć się nie mógł.

Dla tego to w końcu zszedł pan Edward aż do córki profesora Czapińskiego, gdzie mu się także nie najszczęśliwiej powiodło. Ojciec Edwarda, którego widzieliśmy w pokornej postawie przed Abramowiczem, był to sobie stary wojak nie wiele dalej widzący nad koniec swój szabli. Majątek okraglutki i ładny winien był ożenieniu, siedział na wsi, gospodarzył, i lubiał opowiadać o bitwach, w których brał udział. Sąsiedzi, znali już historję jego wypraw na pamięć,



ale im je zawsze powtarzał pod pozorem jakiegoś zapomnianego szczegółu. Jako wojak przywykły do subordynacji, synowi też wpoił pierwsze zasady zachowawcze, jako człowiek co się sam wszystkiego dorobił z pomocą różnych protekcji, pomocy, popychań i łask jaśnie wielmożnych, nauczył go trzymać się klamek i z uszanowaniem przestępować pańskie progi. Widzimy, że z tym zapasem usposobień i pojęć młodzieniec mógł śmiało iść w świat nie narażając się na żadne niebezpieczeństwa.

Ojcu pilno było powracać na wieś, obwiozłszy więc syna po wszystkich przyszłych jego protektorach, nie wyjmując tych, których raz tylko w życiu widział, zaprezentowawszy go generałowi Abramowiczowi, dwom czy trzem wojskowym dostojnikom, hrabiemu Zamoyskiemu, jednemu czy dwóm Potockim i w kilku zamożniejszych domach, ruszył z fajeczką na wieś, wyrzekłszy na odjeździe przy uścisku, wychodząc od Poziomkiewiczów:

— Jak sobie pościelesz tak się wypisz.

Edward słał sobie bardzo ostrożnie ale z determinacją posłania wygodnie. We wszystkich domach, do których go ojciec wprowadził, nie zważając na to, czy ich tam zimno czy gorąco przy-



jeto, Edward począł bywać uparcie, naprzód we dnie, w które wszystkich przyjmowano, potem stając się miłszym i potrzebniejszym coraz częściej. Edward służył im jak szpic na dwóch łapach, był to *un homme à tout faire*, którego płacono skromnym obiadkiem powszednim, herbatą *en famille* i lada jakim cygarem. Za to Edward przed temi, którzy do wielkiego świata przypuszczeni nie byli miał prawo nazywać hrabiów i książąt poufale po imieniu, młodszych nawet bez ceremonji spieszczając.

— Byłem u Gucia, mówił mi Hermanek, Staś przyjechał, Władzio wyjeżdża i t. p.

Stosunki z wielkim światem naraziły go na wydatki, ale Edward trzymał się systemu owego młodzieńca co pościł dla białych rękawiczek, wolał nie zjeść porządnie, a wystąpić gdzie było potrzeba. Mógł czasem nie mieć czystej koszuli, ale zawsze miał świeży kołnierzyk, mogło mu braknąć całych pończoch, ale broń Boże lakierków. Zdaje mi się żeśmy dostatecznie scharakteryzowali jednego z aktorów powieści; bliżej nieco da go nam poznać dalszy jej przebieg.

---

Dziwne są czasem i losy budowli które jak ludzie przechodzą przez różne koleje; tak ten skromny dawniej hotel Gerlacha, z którego spekulacja zrobiła olbrzymi hotel Europejski, był wprzód przytułkiem szlachty przyjeżdżającej ze wsi, potem ogromnym karawan-serajem niby Europejskim, potem cmentarzem w którym złożono ciała ofiar z 27 Lutego, nareszcie dziś kordygardą moskiewską. Przed Lutym mieścił on w sobie najrozmaitsze towarzystwa, jak wszystkie hotele podobne do brzegów na które fala i ziele i skorupki ładne i brzydkie kamyki wyrzuca.

W jednym z pokoiów na dole, mieszcili się w skromnej izdebce literaci i artyści, których wieczorne posiedzenia tak nie długo trwały, i tak się jakoś nieszczęśliwie kleiły; na górnych piętrach mieszkali dużo paniczów z góry poglądających i na owe kwiczoły literackie i na to co się

w ulicy działało. W samych początkach, gdy się uczucia patriotyczne<sup>o</sup> jawniej okazać zaczęły, w hotelu Europejskim zbierała się już garstka opozycjonistów cicho szemrzących przeciwko tym wybrykom ulicy, później za rządów Margrabiego, przy smacznych kolacyjkach, klub się Wielopolczyków utworzył. Szczęściem był on tak nie liczny i tak się sam siebie wstydził, że dla nikogo nie mógł być niebezpieczny. Ale w porze o której mowa, jeszcze był Margrabia nie wpłynął na owe rozbujające flukty, a ci co go radośnie przyjąć mieli, czekali tylko oczekiwanego Messjasza.

Kto nie mógł mieć, jak pan Edward, wytwornego i obszernego kawalerskiego mieszkania, mieścił się najchętniej w hotelu Europejskim. Było to jakoś w dobrym tonie, krzeselka aksamitem powybijane, firanki u okien sute, pozór bardzo przyzwoity. To też Edward nie omieszkiał tu się umieścić od razu. Ruchomości miał nie wiele a chodziło o to, aby w przypadku gdyby mu jaka dostojna figura chciała wyrzucić bilet lub uczyć odwiedzinami, mieć ją gdzie przyjąć przecie. Mógł się bardzo umieścić gdzieś skromniej i wygodniej w prywatnym domu, ale na trzecim piętrze, albo może od tyłu i meble by tak pysznie nie wyglądały. Stał więc w hotelu, ciągle jak na popasie,

ale miał zręczność mnóstwo tam robić znajomości ze znakomitościami, które do kraju z zagranicy przybywały.

Wiedział jak wyglądał generał pruski który po coś był wysłany do Gorczakowa, jaki miał mundur pułkownik austriacki przejeżdżający z depeszami do Petersburga. ile pokojów zajmował jakiś Lord który nawiedził Warszawę i t. p. Skromniejsza młodzież szlachecka mieściła się sobie w hotelu Saskim, Wileńskim lub Rzymskim. a ta właśnie, z którą znajomość najdroższą była dla panna Edwarda, napływała do hotelu Europejskiego. Przy *table d'hôte* robiły się znajomości czasem bardzo przyjemne.

Było to właśnie wieczorem dnia 25 Lutego, po téj katastrofie na Starém Mieście, która padła jak iskra w prochy uczucia narodowego. Hotel Europejski z powodu napływu członków Towarzystwa rolniczego był pełniuteńki. W chwili gdy się już wszystko skończyło, a rynek był pusty, gdy ulice poczęły gęste przebiegać patrole, rozwiązano posiedzenie Towarzystwa i szlachta rozsypała się w różnych kierunkach pospieszając do domów. Znaczniejsza część cisnęła się do hotelu Europejskiego w którym mieszkała, inni szli na wieczerzę do Bouquerela, inni do François i do Rzymu.



Już na sali wiedziano o tém co się stało na Starém Mieście, ale czy to że przynoszący wieść przyniósł tak przyprawną, czy ją usposobienie ogólne w ten sposób zaprawiło, większość rolników rozchodząc się okazywała nie oburzenie na wypadek, ale nieukontentowanie z niego. Towarzystwo sądziło się jedynym prawnym przedstawicielem kraju, jego pragnień i opinji, a tu ktoś śmiał wystąpić z manifestacją bez jego zezwolenia! Pozwolimy tu sobie zrobić mały ustęp:

Chociaż pierwsze opowiadanie nasze wyszło bardzo niedawno, słyszeliśmy już, jako główny zarzut przeciwko niemu, że śmiało sądzić bezstronnie o tak ważnej dla kraju instytucji jak było Towarzystwo rolnicze. Naprzód ani najświętsze, ani najlepsze i najszlachetniejsze instytucje z sądu człowieka i ogółu nie są wyjęte; wszystko rozbierać należy bo wszystko rozbiorowi ulega.

Nie odmawiajmy ani Renanowi prawa pisania życia Chrystusa Pana, ani sobie wolności sądzenia o Towarzystwie rolniczém. Towarzystwo to bardzo dobrze przetłumaczone z włoskiego Cavoura, oddało krajowi wielkie, znakomite przysługi; ale jak wiele ludzi i wiele towarzystw, nie chciało zrozumieć w chwili stanowczej, że rola była skończoną. Wina téj omyłki ciąży



z pewnością nie na członkach Towarzystwa ale na jego Komitecie, który się już za przyszłe ministerjum zreformowanego delikatanie kraju uważał. Zdaje mi się nawet, że portfele ministerjalne były już porozdzielane; nie dziwnego, że temu gabineutowi *in spe* ustępować z placu przed nieznajomą garstką młodzieży się nie chciało. Wielkie mamy poszanowanie dla zasługi człowieka i ludzi, którzy towarzystwo stworzyli, ale to nie przeszkadza mówić prawdy.

Pan Edward na sali już posłyszał że było jakieś zamieszanie, jakaś wrzawa i bójka w rynku Starego Miasta, i on i inni paniczycowic oburzali się niesłychanie na tę tak zwaną ulicę, która śmiała zamieszać spokój, naradzającego się szlacheckiego senatu.

Już wówczas zarysowywały się dwa przeciwnie stronnictwa, jedno które chciało środkami legalnemi dobijać się reform, drugie powstaniem niepodległości. W pośrodku między nimi stali ludzie pojednania, którzy rewolucję pragnęli odłożyć *ad calendas graecas*, a tymczasem siedzieć sobie spokojnie.

Śmiało powiedzieć można, że w Towarzystwie rolniczym ludzie stronnictwa legalnego i odwołującego przeważali.

W tłumach które owego wilgotnego mglistego wieczora około dziesiątej wysuwały się z pałacu Namiestnikowskiego słyhać było szepty niezadowolenia. Niektórzy usiłowali zmniejszyć znaczenie wypadku i przedstawić go jako wybryk małej wagi. We wszystkich przemagała obawa, że Towarzystwu wielkich jego prac dokończyć nie dadzą. Jedno z dwojga, albo Towarzystwo powinno było ować narodem i kierować nim, albo abdykować; pierwszego nie potrafiło, drugiego nie chciało.

Edward szedł razem z dwoma młodzieńcami, których powierzchowność w doskonałej była z jego fizjonomją harmonji. Starszy, hrabia Albert, wysoki brunet z twarzą wychudłą, żółtą i bladą, od dawna chorował na ekonomję polityczną, i jako ekonomista wzdrygał się na wszelki nieporządek społeczny; drugi błdynek, mały, uśmiechnięty, *bon vivant*, nie cierpiał hałasty i wszystkiego co regularny przywóz ostryg i szampana zachwiać może. Zwano go poufale Duniem, chociaż nikt nie wiedział jaka była etymologja tego pieszczotliwego imienia, bo Dunio zwał się po prostu panem Marcinem Klepińskim.

Przechodząc ulicą między pałacem Namiestnika a hotelem, młodzi ludzie rozprawiali bardzo

gorąco, ale po cichu, żeby ich jaki patrol nie wziął za konspiratorów.

— A niechże ich wszyscy djabli wezmą, wołał Dunio, taki nam oni spokojnie naszej roboty ukończyć nie dadzą, i dokażą tego, że Towarzystwo rozwiąza.

— Jawna rzecz, odparł hrabia Albert, że to musi być rzecz zrobiona przez policję, bo rząd szuka pretekstu.

— Już co jest to jest, dokończył Edward, ale się na fatalne rzeczy zanosí...

— Nieszczęście, westchnął Dunio, człowiek przybywszy do Warszawy obiecywał sobie cokolwiek się zabawić, a tu wszystko w łeb weźmie.

Tak rozmawiając weszli do hotelu, we drzwiach już jego i po korytarzach spotykając gromadki osób cicho pomiędzy sobą szepejących.

— Jako żywo nie ma nikogo zabitego, mówił jeden, kilku tam wyplazowali, trochę zaaresztowano, reszta się rozbiegła, nie trzeba z tego wielkich rzeczy robić.

— A ja wacpaństwu mówię, że czy my będziemy robili czy nie, tu się coś strasznego klei. Trzeba zabierać manatki i na wieś uciekać... przerwał inny.

— Na miłość Bożą, dodał jakiś wąsacz trochę szpakowaty, który mógł być żołnierzem z trzy-

dziesiątego pierwszego roku, jeżeli tu jest istotnie jaka robota, szlachta do niej należyć powinna, choćby głowę nałożyła!... Cóż znowu żeby te łyczaki same się manifestowały, a my patrzyli gadając o gnoju, tobyśmy już na gnój zeszli!

— Cichoż, cichoż, przerwał inny, bo tu pełno wszędzie moskiewskich szpiegów, jeszcze nas do kozy pobiorą...

— Ależ tam się krew lała! zawołał wściz, krew polska, krew nasza!

— Gdzie tam! trochę guzów, trochę siniaków, baby garnków natłukły, ot i po wszystkiém! co znowu! burda, nie więcej.

— Cóż w ulicy?!

— Cicho wszędzie i spokojnie.

— Jak myślicie, coś będzie?

— Głucho wszędzie, cicho wszędzie, głupstwo było, głupstwo będzie, dodał z wielką powagą wchodzący hrabia Albert.

Kilkanaście osób z nim razem, znajdowały się w małym saloniku na dole, w którym zaniówiona była wiecezka. Cała powierzechowność stołu oznajmywała że nie demokratyczne gęby jeść ją miały. Bukiet nieśmiertelny stał w pośrodku, po obu jego bokach dwie w srebrnych naczyniach fiasze szampana, przy każdym talerzu po czternaście



kieliszków różnego wzrostu i tuszy, zielonych, żółtych i białych, na osobnym stoliku bardzo wytworne przekąski.

Hrabia Albert zabrał głos, zapatrując się na kwestję bieżącą ze stanowiska ekonomicznego.

— Dopóki Europa nie oczyści się z tych żywiołów rewolucyjnych, normalny postęp i rozwój wszystkich sił społeczeństwa będzie niepodobieństwem. Na każdym kroku spotykamy te burzące działa, które nie počąć i wykonać wytrwale nie dają. Spójrzcież na Anglję...

— Ależ proszę cię hrabio, dla czego w Anglji te żywioły burzące nic złego zrobić nie mogą? przerwał mały człowieczek ospowaty i brudny, który nie wiedzieć jak w tak dynstygowaném towarzystwie się znajdował.

Musimy wytłumaczyć, że choć nie pozorny, choć syn doktora, a wnuk cyrulika, pan Henryk Gros był bardzo bogaty, odebrał staranne wychowanie, ożenił się ze szlachcianką i przebojem zdobył sobie miejsce w najlepszych towarzystwach. Była to chodząca sprzeczność, znano go z tego że nieustannie polemizował.

— Dla czego? bo je tam rozum mężów stanu hamuje, a my na nieszczęście ani mężów ani stanu nie mamy.



Ten niby dowcip wcale się podobał, a hrabia mówił dalej; nie zważając że Gros poszepnął: gdyby był stan, znaleźliby się mężowie.

— Ludzie porządku powinni się wziąć za rękę.

— Mój kochany, przerwał ospowaty Gros głośnieję, jak się weźniem za rękę, to już temi rękami nic robić nie będzie można. Czy tobie o to chodzi?

Zaczęto się śmiać.

— Ale koniec końców, cóż było na Starém Mieście? spytał niespokojny Dunio.

— Mówił mi naoczny świadek, zaczął Edward, że ich wielce poturbowali... potłukli...

— Otóż to ci głupi moskale! narobią męczenników, zasieją entuzjazm i spokoju już nie będzie, rzekł poważnie zbliżając się do wódki hrabia Albert, mówiłem o tém z Zamojskim, pchają nas w niewiedzieć jaką drogę, Bóg wie kto, na oślep, i zaganiają w przepaść.

Na licu ospowatego człowieka zarysował się uśmiech sarkastyczny.

— Kochani moi, rzekł, zdaje mi się, że się mylicie w ocenianiu ludzi i rzeczy, mierzycie nasze i Rossyi położenie skalą Europejską, a na nie powinna być miara osobna. Z moskalem waszą

legalną opozycją nigdy się do niczego nie dojdzie, okpić go trudno, wmówić mu poszanowanie prawa niepodobna, zrobić go szczerym i uczciwym ani myśleć. Kończy się na tém, że albo trzeba jeść ten chleb polany łzami i posypyany popiołem, albo się walką innego dobijać. Gdybyś hrabia dobrodziej jak Daniel w jaskini lwów znajdował się w nieprzyjemném towarzystwie dzikich zwierząt, wątpię żeby ci wówczas starczyła opozycja legalna, a moskal jest i będzie jeszcze długo prostém bydlęciem. Albo go trzeba tłuc, albo z nim jeść z jednego koryta.

Na te proste wyrażenia pana Henryka Grosa hrabia się mocno skrzywił, wykręcił usta i zamilkł. Wszyscy inni popatrzywszy na siebie i na ospowatego, także usta zacięli. Pan Henryk przeczuł że się trzeba poprawić i dodał żartobliwie:

— Spodziewam się, że mnie nie bierzecie za rewolucjonistę, ale z moskalami najporządniejszy człowiek, zachęcony ich przykładem, ma ochotę robić awantury.

Dunio zbliżył się do Grosa i rzekł mu niecierpliwie ciągnąc go za połę.

— Dajcież pokój, pełno szpiegów, jeszcze nas tu wszystkich pobiorą. Siadajmy do kolacji, kołtety stygną...

Kilka westchnień dało się słyszeć gdy biesiadnicy miejsce zajmowali, twarze były posępne, rozmowa się nie kleiła, wszyscy siedzieli jak powarzeni. Trwało to póty, póki pierwsze kieliszki krążyć nie zaczęły, naówczas usta się znowu otwały i hrabia Albert zabierając głos, jak gdyby mówił z trybuny towarzystwa odezwał się w te słowa:

— To co się dziś stało na Starém Mieście, jest zapewne małą rzeczą, ale wielkim symptodem. Jakaś manifestacja odbyła się bez wiedzy naszej, przeciwko naszej woli, jesteśmy więc, jeśli ta siła co to robi górę weźmie, nie u styru narodu ale pod władzą nieznanych nam ludzi.

— Kto? jak? gdzie? na górę wziąć? przerwał Dunio niecierpliwie, na co to o tém gadać? co to do nas należy? dalbyś pokój.

— Ale proszę cię, siedźże cicho i daj mi skończyć, ofuknął Albert stukając kieliszkiem. Nie należym przecie do rewolucjonistów, jesteśmy za rozwojem legalnym instytucyj, możemy o tém mówić głośno. Tu chodzi o naszą skórę, od wieków szlachta rej wiodła w Polsce, teraz ją myślą detronizować.

— Zastanów się tylko, rzekł Henryk, czy ona czasem sama nie abdykuje? Siedzim w kartoflach

i gnoju, cóż dziwnego, że inni za ster chwycili?

Gdy Gros to mówił, na wyrażenie w liczbie mnogiej *s i e d z i m*, Albert znaczącą zrobił minę, inni po sobie spojrzeli.

— Więc dla tego, że inni chcą heroicznie wystrajać burdy, szlachta ma biedz za nimi baranym pędem?

— Ale czy to są burdy tylko? zapytał się Henryk.

— Jakże ja to mam inaczej nazwać? odparł Albert, jeśli taka garstka ludzi porywa się z gołą pięścią na przeważną siłę milionów?

— Bohaterstwem, rzekł Henryk, ale nie koniecznie burdą.

— O co wam chodzi? przerwał inny, tu jedno z dwojga wybierać trzeba, albo znosić co cierpimy, albo się dobijać lepszego.

— Ale mi nie zaprzeczysz, podchwycił Albert, że są przynajmniej dwa, jeśli nie więcej sposoby dobijania się tego lepszego, nie koniecznie pięścią... można i rozumem.

— Tak, jeszcze dodaj i Wallenrodyzmem! zaśmiał się Gros. Wszystko to doskonałe dla tych co chcą za ludzi czynu uchodzić, a nie nie robić i żadnych ofiar ponosić sobie nie życzą. Widzie-

liśmy takich Wallenrodów okrytych gwiazdami, biorących po kilkadziesiąt tysięcy pensji i chowających w ciemnej komórcie portret Kościuszki lub rogatywkę; wdychali oni do śmierci, ocierali łzy na wspomnienie ojczyzny, ale dochowali święcie wiary temu kto im płacił.

— Słowo honoru, rzekł Albert, iż przy takim usposobieniu umysłów jak wasze nie na serjo roztrząsać nie można.

— Ale, bo któż przy kolacji plecie takie banialuki? Hrabio Albercie, człowiecze przyzwitości i porządnego świata, powiedz, co byś rzekł temu któryby ci podał portera przy deserze lub starego węgierskiego wina po zupie? Otóż to właśnie tak nas częstujesz przy lekkiej kolacji twoją ciężką rozmową. Wieczera ma swoje prawa. We Francji wyśmiano by człowieka co by ekonomiczno - filozoficzną chciał przy niej wieść rozmowę.

— Ale ma słuszość, ma słuszość, przerwało kilka głosów. Mówmy o czem innem.

— Naturalnie o czemś takim co przystało wieczery, dodał tryumfująco Dunio.

— Gadajmy o koniach, rzekł wąsaty, to będzie przedmiot nie za ciężki do wieczery i nie zbyt obcy duchowi czasu. To mówiąc odchrzą-



knął i obejrzał się, ale paniczycy co go otaczali jakoś chmurno tę alluzję przyjęli.

— Albo o kobietach, szepnął Dunio z uśmiechem.

— Panowie znacie tę anegdotkę o dukacie? rzekł wąsaty. Czasby już z tego wyjść.

— No, dlaczegóżby o kobietach mówić nie wolno? zapytał Dunio, za to przynajmniej do kozy nie wezmą.

— Kwestja! Gdyby to było za Paszkiewicza ażebyś się waćpan ośmielił przebaknąć o jego miłostkach, pojechałbyś pewnie polować na sobole.

— No, ale dziś nie ma tego niebezpieczeństwa, zawołał rozdobruchany Gros. I, kiedy już o tem mowa, hrabio Albercie proponuję wypić zdrowie pięknej Idy!

Hrabia Albert trochę się zmięszał, co dziwniej kilku paniczów siedzących około stołu razem się zaczerwieniło, oglądając się jedni na drugich. Gros z szyderskim uśmieszkiem nalawszy sobie pełny kieliszek, wstał i podnosząc go do góry, zawołał:

— Zdrowie pięknej Idy! w ręce hrabiego Alberta.

— Dlaczegóż w ręce moje, rzekł zimno Albert, przyjmuję wezwanie, ale zaszczytu tego wy-

tlomaczyć sobie nie umiem. Panna Jadwiga wcale mnie szczególnemi nie zaszczyca względami. Jeśli to ma oznaczać, że pan mój dla niej szacunek wysoko oceniasz, w tem się bynajmniej nie mylisz. Więc, zdrowie panny Jadwigi!!

Słowa te, wyrzeczone z zimną krwią i powagą sprowadziły chwilowe milczenie, wąsaty, dla którego miano wiele uszanowania, odczuwał się:

— Moi panowie, widzę, że to nowa jakaś gwiazda na warszawskim horyzoncie; bądźcież łaskawi starego, któremu już oczy na te blaski patrzeć nie pozwalają, objaśnić o tem zjawisku.

— Doskonale, rozśmiał się Gros, kochanemu kapitanowi zdaje się, że w dwóch lub trzech słowach możemy mu opisać tego sfinxa z twarzą kobiecą.

— Myślałem żeście wiecie artyści, bo mistrz kilku rysami węgla na ścianie, potrafi idealną piękność uwiecznić.

— Nie spodziewam się żebyśmy tu mistrza między sobą znaleźli, odpowiedział Gros, a gdyby był, ręczę, żeby ołówki i pędzle połamał nimby dotknął tak trudnego zadania. A to chyba nie wiesz panie kapitanie co jest panna Jadwiga? W wielkim świecie zwana I d ą, dla uniknienia polskićj kakofonji, w poufałym gronie mianująca

się J a d z i a , a, jak słyszałem, przez tłum uliczny, który ją doskonale zna, ochrzczona imieniem kochanej Jagny.

— Ale któż to jest? co? z kąd? jak? zapytał wąsaty kapitan, mówcież po ludzku, i prozą.

— Prozą o Jadwidze! ozwał się głos z za stołu. Żądasz niepodobieństwa.

— No, to wierszami, a po polsku, rzekł zniecierpliwiony kapitan.

— Kto ma głos? spytał Henryk, boć trzeba żeby to ktoś porządnie zredagował kapitanowi. Wszyscy ci panowie, dodał, są mniej więcej zakochani, zatem żaden się z nich nie kwalifikuje do malowania portretu. Ja jestem stary, szpetny, ospowaty, żonaty i z natury szyderca. mogę pannę zrobić jej karykaturę.

— Już choćby karykaturę, rzekł kapitan, a nie nudźcież mnie dłużej.

Dunio uderzył w stół nożem, zadzwonił widelcem o szklankę i zawołał:

— Mości panowie, uciszcie się! Pan Henryk Gros odmaluje wam karykaturę panny Jadwigi Żylskiej.

— Co? Jadwisia Żylska? krzyknął kapitan. To ten kopciuszek wyszedł na heroinę? ale jam to dzieckiem na rękach nosił, tego brzydala! Czy

tak wypiękniała? bo dziewczynką małą jak była serdecznie miła, żwawa, dowcipna, tak też i niepospolicie brzydka.

— Co kapitan mówisz? oburzył się pan Edward, który dotąd milczał, to jest znakomita piękność, ale dystygowana i oryginalna, nie każdy na niej poznać się może.

— Mam głos, i przypominam się oń, przerwał pan Henryk, a zamawiam sobie, żeby póki karykatury nie skończę, nikt mnie w łokieć nie śmiał trącać, *vulgo* przerywać mowy.

— Słuchajcie! zawołał powtórnie Dunio.

— Ponieważ kapitanie znałeś ją dzieckiem, wiesz zatem o jej rodzinie i pochodzeniu: dla innych słuchaczów moich dodam, że panna Jadwiga Żylska jest córką jedynaczką iucci pana Hieronima Żylskiego, który na dzierżawach i na tucznych wołach, dorobił się ogromnej fortuny.

— Prawdziwie karykatura, krzyknął zaczerwieniwszy się Hrabia Albert, a co gorzej potwarz. Żylscy, starożytna szlachta, są w Niesieckim, a Hieronim żonaty był z panną Potocką urodzoną z Sapieżanki.

— Prosiłem nie przerywać, rzekł Henryk, nie przeczę, że handlarz wołów miljonowy, ożenił się z ubogą Potocką, ale wprzód, aż się do-

brze do Wiednia z wołami nawędrował, trzosa nabił, i handel porzucił, kupiwszy ogromne dobra. Nie widzę przytém, co by mu to ujmować miało, że na wołach zarabiał, szlachcie czy nie szlachcie? Panna Jadwiga bardzo za młodu osierociła, wzięła ją najzaciejsza z ciotek na wychowanie, ale sama bezdzietna, z sercem miękkim i miłości pełnem, dała się temu dziecku rozbujać aż strach! Dziś też panna Jadwiga, Ida, Jadzia, Jagna jest najexcentryczniejszą z kobiet pod słońcem. Jedni mówią ideał dziwactwa, drudzy pierwowzór kobiety. Kapitan powiadasz, że ją pamiętasz dzieckiem nie ładnem. Prawdę rzekłszy ja bym jej dziś pięknoscią nazwać nie śmiał, jeśli pięknym jest posąg grecki i klasyczne rysy, ale urok, ale wdzięk, ale czary niesłychane.

— Opiszeć mi jak ona teraz wygląda! rzekł kapitan.

Dziesięć przynajmniej głosów zerwało się do odpowiedzi, ale hrabia Albert zagłuszył innych i rzekł.

— Nie pozwolę Henrykowi skarykaturować obrazu panny Jadwigi, zostawuję mu odwrót medalu, ale pozwolicie mi choć szkie malutki kapitanowi nakryślić.

— Panna Jadwiga nie jest pięknoscią w ma-



terjalnem znaczeniu tego wyrazu, twarz jęj szczególnie wcale nie jest klasyczną, nie jest to Juno z Villa Ludovici, ani profil medalu greckiego, ale wpatrzywszy się w te piwne palające oczy, w to czoło białe, po którym olimpijskie grają myśli, w te usta nieco duże i wydatne, ale tyle mówiące; w całą postać niesłychanem namaszczoną wdziękiem, niepodobna czołem przed nią nie uderzyć. Twarz jest pełna charakteru, energji, życia odwagi; co się tyczy postaci, budowy, ręki, nogi, popiersia, wyzywam, żeby mi kto co równie kształtnego i prawdziwie pięknego pokazał. Spojrzawszy na tę kobietę, widzisz odrazu, że jęj piękność, nadaje duch co ją opronienia. Znam tyśiące do nięj podobnych jak dwie krople wody, a najzupełnięj brzydkich, piękność jęj stanowi wyraz... dusza.

— No, a może i te dwa czy trzy miljony, które mieć będzie w posagu. rzekł kapitan, nie licząc sperandy po ciotce bezdzietnćj, dodał śmiejąc się.

— Przepraszam odezwał się jak zawsze z wielką powagą hr. Albert, Ida i bez miljonów byłaby urocza.

— A z miljonami, rozśmiał się Dunio, tak jak kapłon z truflami, gorszą nie jest.

— Ale jakąż tu ona rolę odgrywa? spytał wąsaty.

— Czy mogę dokończyć karykatury? rzekł Henryk. Zdaje mi się, że mam do tego prawo.

— Kończ, ale prędko, szepnął ktoś z boku, licho ich wie, policja czuwa, gotowi pomyśleć, że jakie spiski tu knujemy, trzebaby się rozchodzić. . . .

— Kończę więc na prędko, mówił Henryk, panna Jadwiga z ciotką mieszkają tu od roku. W półcieniu jestem zmuszony narysować ciotkę, najświętszą z ciotek, ale najnieudolniejszą z niewiast. Nieboraczka od śmierci nieboszczyka męża, którego bardzo opłakiwała, bo kogóż ona nie kocha i po kim nie płacze?... utyla tak niezmiernie, że z ciężkością poruszać się może. W domu wożą ją z krzeselkiem, do powozu prowadzi przynajmniej dwóch lokajów. Nie nie robi tylko płacze rozpadając się nad Jadzią, pije kawę, szyje na kanwie, nie dopuszcza, ażeby się co jej ubóstwionemu dziecięciu przykrego stać miało. Miarkujecie jak wygodnie z taką bezwładną mistrzynią takiemu roztrzepańcowi jak Jadzia. Po całuje ciotkę w czoło i nim ta ją wstrzymać potrafi, już furknęła gdzie chciała.

— A terta się też bardzo? zapytał kapitan.

— Między nami mówiąc, odparł Gros, tylko miljonowej pannie tak sobie pozwalać wolno. Wierzę najmocniój, że w tem nic złego nie ma, ale pozorów do potwarzy więcej niż potrzeba. Na-przód zna się z całą młodzieżą, taką nawet, której w żadnym salonie nie zobaczysz, bo dużo z nich nie wierzy w rękawiczki i nie nosi kałoszów. Pod pozorem artystów i uczonych, i różnego rodzaju znakomitości, panna Jadwiga przyjmuje takich ludzi, jacy składali ewangeliczną ucztę, ale to nie przeszkadza jej być w najlepszych towarzystwach, jeździć konno z młodzieżą, dzentelmanami gdy chce wystąpić jak księżniczka i gburowi zaimponować jak hiszpańska królowa. Jestto w istocie osobliwsza kobieta posiadająca szczególną władzę assimilacji, z każdym towarzystwem jest jak w domu, zrozumie język każdego, umie się wszystkim podobać, a co tam w głębi siedzi, jeden Pan Bóg wie. Że szlachetna i zacna nie wątpię, ale, że to trochę szalona, nikt mi z was nie zaprzeczy.

— Brawo karykaturzysta! rzekł kapitan, o ile ją sobie dzieckiem przypominam bardzo na coś podobnego zarywała. Czasem zasiadywała w salonie, przy poważnych gościach godzinami, aż ją do dzieciinnój zabawy napędzać musiano,

a niekiedy jój z kredensu i garderoby wyciągnąć nie było można.

Jakiś szczęk dziwny dał się słyszyć na korytarzu, Dunio podskoczył, wyjrzał przez drzwi i zawołał z wielkim przestрахem:

— Jak Boga kocham, żandarmi!!

Popłoch zrobił się wielki, niektórzy porwali się od stołu pośpiesznie, inni pobledli, kapitan węża pokręcił z uśmiechem, a Gros szydersko rzekł biorąc za kieliszek.

— Mości panowie, żywo! żeby nas o co nie posadzili, proponuję głośno zdrowie Najjaśniejszego Pana i całej rodziny cesarskiej!!

Ten żarcik jakoś tchórzów opamiętał, tylko Dunio odedrzwii powtarzał:

— Jak Boga kocham weszli żandarmi!

— Dowiedzieli się pewnie żeś ty urządzał manifestacją na Starem-mieście, odezwał się do niego Gros i idą po ciebie.

— Ale proszę dać pokój! z gniewem ofuknął Dunio tupiąc nogą, gotowi jeszcze posłyszyc... to nie są żarty!

Wstrzymał się jednak ujrzawszy na wszystkich twarzach wyraz prawie zbliżający się do pogardy. Bądź co bądź i rozmowa i wieczerza zatrute przez tych żandarmów prędko się jakoś

skończyły. Najzgrabniejsi paniczycy po jednemu się chyłkiem powysuwali, Gros i kapitan zostali, gwarząc trochę dłużej, rozmowa ich była cicha, poważna i westchnień pełna. Skończył ją wąsaty temi słowy:

— Zginie Polska czy żyć będzie, spokojnym o to, że albo się wielką odrodzi, albo bohaterską umrze śmiercią.



Tam gdzie się Krakowskie Przedmieście schodzi z Nowym Światem, stoją obok siebie dwa wielkie pałace Zamojskich, dziś obrócone na kordegardy moskiewskie, skutkiem niesłychanego gwałtu przypominającego ową chińską sprawiedliwość, gdzie za jednego winowajcę cała prowincja odpowiada. Z dwóch tych surowo i poważnie wyglądających budowli, pierwszą zajmowała prawie cała rodzina hr. Zamoyskiego.

Wnętrze tego pałacu, którego część przytykała do ulicy Śto-Krzyżkiój, równie było skromne jak jego powierzchowność. Dziś po zburzeniu tego prawie historycznego gmachu, po sprofanowaniu go przez moskiewską hałastrę, godzi się przypomnieć jak dawniej wyglądał. Fizjonomia jego odpowiadała dobrze charakterowi męża którego był mieszkaniem. Więcej tam było książek, prób narzędzi rolniczych, zasobów dla myśli, ma-

terjalów do pracy, niżeli pańskiej wystawy i magnackiego występu. Począwszy od sieni do salonu, spotykałeś wszędzie ślady poważnego umysłu i zajęć obywatelskich. To ciche i prawie ubogie mieszkanie, malujące człowieka, który o zewnętrzne okazanie się nie dbał, kilka razy w rok ściągało prawie wszystkich Warszawian z powinszowaniami do pana Andrzeja, a raz w tygodniu co było znakomitszego na cichą wieczorną rozmowę. Był czas gdy hr. Andrzej głosem opinii publicznej wyznaczony był na przedstawiciela całego kraju. Niepodobna zaprzeczyć wielkim jego dla Polski zasługom, mąż ten w czasie gdy wszyscy byli bezczynni, sam jeden znalazł zakres w którym działać było wolno, można, i dla przyszłości zbawiennie. Historia, do której pan Andrzej należy, ściślej oznaczy charakter jego prac i ich doniosłość. My wspominając go jako człowieka, cześć oddajem niezlomnemu i prawemu charakterowi jego. Bądź co bądź albo mało, lub wcale nie mieliśmy mu równych. Ci co go otaczali i mieli się za daleko od niego wyższych, części jego nie byli warci. Obok tej prostoty obyczaju, którą cały dom przezeń zamieszkały dowodził, jakże lichy i biednie wydawały się elegancje i przepychy podpanków! Jak ten stary szwajcar skromnie ubrany, ten

stary sługa na pokojach i sprzęt, dawniejsze pamiętający czasy, to ciche i nieco posępne wnętrza, mile i uspokajające czyniły wrażenie!

Obok obszerniejszy drugi pałac Zamojskich, był zamieszkały przez mnóstwo lokatorów, których po owych bombach, Berg zrabowawszy, na ulicę wyrzucił. Dostatniejsze i mniej zamożne rodziny mieściły się tu w wielkiej liczbie, a górne piętra gmachu zajmowała uboga poczciwa młodzież. Pokoiki były nie drogie, schludne, a położenie w pośrodku miasta bardzo dogodne. Cisnęli się też tu lokatorowie których nigdy domowi brak nie bywało. W jednym z apartamentów od ulicy położonych, z rana dnia 27 Lutego w salonie obszernym przechadzała się młoda kobieta trzymając książkę w rękę, ale uradowana więcej myślami swemi niż nią zajęta. Jeżeli prawdą jest, że mieszkanie daje rys do charakteru człowieka, salon o którym mowa dosyć się jakoś niezrozumiale przedstawiał.

W oknie stały krosienka, a na nich widać było zaczęta włóczkami poduszkę z Orłem polskim i Pogonią. Na kanapie rzucono świeżo widać kupiony obrazek bez ram, przedstawiający karpacką okolicę, na stole w nieładzie leżało mnóstwo książek, rycin, kłębusek, bardzo ładny

mundsztuk na konia i śliczna spicruta ze srebrną główką. Na jedném z krzesełek był kapelusz z zielonym woalikiem, na drugiém ogromny foljant stary, na ziemi odlew jakiegoś posążku, a na dywanie przy kanapie spoczywał bardzo piękny pudel biały w brązowej obroży, śpiący jakby po wielkiem znużeniu. W wygodnym fotelu przy drugiém oknie siedziała za krosienkami kobieta nie młoda, bardzo otyła, fizjonomji pięknej i łagodnej. Przerwała swą robotę dla książki którą przerzucała z wielkiem zajęciem, niekiedy tylko z pod okularów spoglądała na przechadzającą się młodą osobę, na której twarzy widoczny jakiś malował się niepokój.

Czytelnik łatwo się domysli, że ma przed sobą ową głośną pannę Jadwigę Żyłą. Do opisu jej twarzy i postaci, skreślonego wczoraj przez pana Henryka, nie dodamy nic nad to, że była z wielkim smakiem ubrana. Miała na sobie suknię z lekkiego sukienka karmelitańskiego koloru, nadzwyczaj szeroką, fałdzistą i pięknie drapującą się około figury, wbrew zwyczajowi, żadną krénoliną nie objętej, gruby sznur jedwabny z długimi końcami uciskał ją w pasie. Białe gładkie mankietki i takież kohnierzyk, dopełniały bardzo skromnego ale do twarzy ubrania. Włosy miała na

sposób grecki w wielkie warkocze splecione, w koło głowy obwinięte i w węzeł za nią foremny ułożone. Piękne oko ciemne, nos prosty, trochę szerokie rumiane usta, uderzały w tój twarzy nieco ogorzalej i czerstwem zarumienionej zdrowiem.

W bardzo pięknej białej raczce trzymała książkę, ale jej nie czytała, gorączkowo zrywała się kilka razy do okna jakby na coś oczekując, potem zadumana chodziła znowu dając matce znaki niecierpliwości. Ciotka spoglądając na nią ruszała czasem ramionami. Milczenie trwało czas jakiś, gdy do drzwi salonu zapukano, Jadwiga szybko do nich pobięła i rozmówiwszy się przez chwilę z kimś stojącym na progu poskoczyła cała zarumieniona do ciotki.

— A widzi ciocia, rzekła, dla czego mi było nie pozwolić pójść na to nabożeństwo u Karmelitów, tłumy słyszę były ogromne, ale godzina ranna i kobiet prawie nie. A już ciż i my Polki jesteśmy, i my mamy dla ojczyzny obowiązki, i my z braćmi iść powinniśmy! A! nigdy sobie nie daruję że cioci posłuchała, trzeba było uściśkać, pocałować i uciec. Ciotka by mnie nie dogoniła! Najwspanialsza w świecie rzecz, całe nasze poczeiwe obywatelstwo, cała nasza serdeczna szlachta, którą miasto witało z okrzykami. Mó-



wią, że wprost z tamtąd miała wyjść wielka procesja przez Stare-Miasto, Święto-Jańską, plac Zamkowy, do pałacu Namiestnikowskiego, aby bratersko połączyć się z rolnikami, którzy dziś są już całkiem inaczéj usposobieni. A! jak to będzie cudownie! Trzeba tam być koniecznie, ja wiem, że idę pod pałac Namiestnikowski witać tę procesję... natychmiast...

Ciotka aż odsunęła krosienka i choć z ciężkością ruszyła ku siostrzenicy zalamując ręce.

— Jadziu! dziecko moje! na popioły matki cię zaklinam, zlituj się nademną, nie czyni tego! Czuję, choć nie wiem, że burza jakaś wisi nad naszymi głowami, nie puszcze cię, nie pozwoli, nie mogę...

Jadwidze lzy stanęły w oczach, przyklękła przed ciotką, objęła ją rękami, zaczęła całować w kolana i prosić, ciotka się aż rozplakała.

— Ty wiesz, dziecko moje, że mnie słabą istotę zawsze łzami swemi zwyciężysz, ale godzi się to, dla fantazji taką trwogą napępniać serce moje?

— Ciociu, nie dla fantazji, ale tam nas woła obowiązek!

— Obowiązki kobiety całe są w domu, moje serce!

— Nie zupełnie się na to zgadzam, ciociu, ja mam swoje w tym względzie teorie, ciocia wie, to było dobre na owe czasy, gdy kobiety były niewolnicami. Zresztą w zwyczajnych czasach niech już sobie kobieta siedzi zamknięta w domu, ale w gorących walki godzinach, czemuż my jak matki czarnogórskie synom, jak żony Greków mężom, jak Serbów siostry braciom, u boku stać nie mamy? kobieta, ciociu moja, dodała z zapalem, który całą jej twarz rozjaśnił, kobieta jest więcej niż człowiekiem, powinna być człowiekiem i kobietą. Niewiastą u kolebki dziecka, u ramienia ukochanego męża, ale biblijną mężyną w wielkich godzinach narodowego życia...

Ciotka ścisnęła ją i płakała.

— Głowa ci się zawraca, moja Jadziu, nie wiedzieć co pleciesz, gdyby kobieta dopełniła tylko swych obowiązków, córki, żony i matki, już bardzo byłoby dosyć....

— Tak, na pospolitą kobietę, ale ja pospolitą kobietą być nie chcę!!

— A! moja ty droga bohaterko, przez litość przynajmniej, nie odlatuj odemnie póki ja żyję, już potem sobie uniesiesz się w niebiosy! Gdy o tobie myślę, zawsze mi na myśl przychodzi nieboszczyk Stanisław T....., który się miał za wiel-

kiego poetę, za natchnionego wieszczą. Kochał się w ładnej Karolinie S.... ślicznej, miłej ale cichej i nie poetycznej istocie, i wiecznie siebie porównywał do orła, króla ptaków zakochanego w gęsi, która za nim w obłoki lecieć nie może, otóż ja jestem tą gęsią, moja Jadziu, a ty tym orłem. Gdyby orzeł miał serce siedziałby przy gęsi i byłiby szczęśliwi!

Jadzia troszkę się uśmiechnęła, trochę lzy jej stanęły w oczach, zakręciła się i dodała smutnie:

— A może też ja jestem trochę egoistka moja droga ciociu, ale cóżem winna, że ja ten kraj tak kocham, że radabym być wszędzie, gdzie się coś dla niego czyni! Cóżby mi tam zresztą stać się mogło? Cóż moskale bezbronnej kobiecie zrobić mogą?

— A! ty nie znasz moskali, oni z bezbronnymi najwięcej walczyć lubią! czyż poszanują młodość? czy ulitują się słabości? czy dla nich jest co świętego?

Gdy tak mówiły, pudel nagle się zerwał, podskoczył do okna, łapy oparł na szybie i wielką niespokojność okazywać zaczął: z ulicy dal się słyszyć szmer i gwar jakiś. Ciotka z Jadwigą pobiegły do okna i poznały po niezwykajnym ruchu, po przebiegającej w rozmaitych kierun-

kach ludności, że się coś w mieście stać musiało. Mężczyźni żywo lecieli w stronę Namiestnikowskiego palacu, kobiety jakby strwożone zdawały się ucickać ku Nowemu-Swiatu, żandarmi w całym pędzie lecieli ku zamkowi, dorożki ugaśniały się jedna za drugą, mnóstwo ludzi spotykając się gorączkowe sobie rzucali słowa.

Po ruchach ich poznać było można, że sobie o czymś opowiadali, z twarzy czytała Jadwiga, że wiadomość raczej straszną być musiała... niż radośną. Upłynęła chwila w dręczącej niepokojności oczekiwania, nikt nie nadchodził. Odgadnąć co się działo nie było podobna, Jadwiga zakłanawszy ręce, z wypieczonemi gorączką rumieńcami latała po salonie, pudel biegał za nią patrząc w oczy jakby ją rozumiał, ciotka po cichu się modliła.

Na wschodach żywe dały się słyszeć kroki, Jadwiga otworzyła nieco drzwi i nie mogąc wytrzymać spytała mężczyznę, który się jęj tylko jak cień przesunął przed oczyma.

— Na Boga, mów pan co się dzieje w mieście?

— Strzelają do ludu, odpowiedział żywo nieznamy, i poleciał na trzecie piętro.

Ciotka nie usłyszała odpowiedzi ale się jęj

domysliła, po zbladłej twarzy siostrzenicy. obie kobiety zamilkły patrząc na siebie z przerażeniem.

Nieskończenie długa wydała im się godzina samotności, której nawet nadejście żadnego sługi nie przerwało. Jadwiga prawie ciągle stała w oknie, ale z tego co przez nie widzieć było można, nie odgadła scen krwawego dramatu. Moskale jakby zawstydzeni i trwożni snuli się po ulicach, lud chmurny i rozwścieczony, ale wstrzymujący się od wybuchu, z odwagą i powagą przechodził milezący, żywszemi krokami biegła tam młodzież, ekwipaże dostojników krzyżowały się w różnych kierunkach.

Dobrze z południa garstka ludu ukazała się około Świętego-Krzyża, kilkudziesięciu mężczyzn skromnie i ubogo odzianych. w pośrodku kilku z nich na deskach. zbitych nieforemnie, unosili nad głowami trupa krwią zbroczonego...

Widok tego ciała sino-białego, z zaschlami czarnemi blizny, przejął Jadwigę rozpaczliwym prawie szaleń.

— Patrz ciotko! zawołała, trup! męczennik! ci barbarzyńcy porwali się na bezbronnych! Jakże to lud wytrzymać potrafi? czemu się nie rzu-



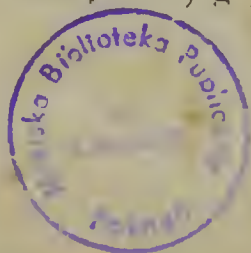
ci cały na tych zbójców! Ja jestem kobietą ale czuję, że zabijałabym bez litości!

— Tak! odparła ciotka płacząc dopóki by ci się moskał nie rozplakał.

W chwilę potem drzwi się nagle otworzyły i młody człowiek z twarzą rozognioną, zdyszany wbiegł do salonu. Był znajomy dobrze obu paniom, syn ich sąsiada, który przyjechał ze wsi jako członek towarzystwa na ogólne zebranie, nazywał się Mieczysław Skorupski. Nie należał on całkiem do towarzystwa paniczów: syn żołnierza, sam gotów do boju, wrzał niecierpliwością. Wypadki tego dnia widocznie się na jego twarzy wypiętnowały. Jadwiga, która go zwykle widywała spokojnym, nieśmiałym i cichym, zaledwie poznać go mogła. Wszedł jak pijany zataczając się, belkocząc niezrozumiale, brakło mu tchu, tak że musiał nieco spocząć nim mówić zaczął.

Jadwiga podała mu co żywiej szklankę wody, nad którą potrzebniejsza może była szklanka wina, ale orzeźwiony nią Micio wreszcie odzyskał mowę.

— Zlitujcie się pan nad nami pustelnicami! zawołała sadzając go Jadwiga, mów, mów, i mów co się dzieje, co się stało, gdyby nie ciotka już-

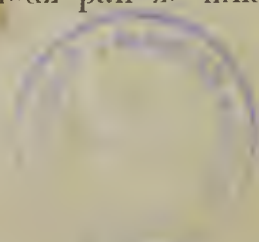


był sto razy wybiegła na ulicę. Z okien widzieliśmy trupa...

— Okropności! rzekł Mieczysław, wiedzieć panie musicie o procesji, która szła z Leszna, moskale ją napadli przed zamkiem, podruzgotali krzyże, porozbijali obrazy, rozpędzili kondukt, który miał wieść umarłego od Bernardynów, na koniec wystrzelili do bezbronnego ludu i położyli trupem dużo ludzi. Nie wiem wielu jest rannych, część zabitych porwał lud i obnosi po mieście, niektórych złożono w Europejskim hotelu. Zburzenie w mieście nadzwyczajne, moskale sami nie wiedzą co począć, zdaje się że głowy tracą, jednak dotąd rzecz nie roztrzygnięta jak się to skończy... wiele osób aresztowano...

Mówił to przerywanym głosem, dając znaki jakieś pannie Jadwidze, która tylko tyle z nich zrozumieć mogła, że miał jej coś do powiedzenia na osobności. Ale ciotka przywlokła się biedna do samego krzesła, na którym siedział Micio i płacząc go słuchała. Nie podobna było się jej pozbyć.

— Widzę, że pan z głodu umierasz, a nie nie mówisz, rzekła żywo do młodego człowieka, chociaż i myśmy obiadu nie jadły znajdzie się coś w kredensie, chodź pan ze mną.



Skornyski zrozumiał i pospieszył za swoją przewodniczką. W drugim pokoju zatrzymała się Jadwiga i spojrzała na niego pytająco.

— Znajomy pani, Juljusz jest niebezpiecznie ranny, potrzeba go ukryć, aby nie był schwytany, panie mieszkacie same, nikt go tu szukać nie będzie; macie jaki kąt看 żebyście go przyjąć mogły?

— Cyt! cyt! żywo odparła Jadwiga na bok skromności niewieście, mój pokój jest na drugim piętrze, więc ciotka tam po wschodach zająć nie może, oddam mu moje mieszkanie.

— Prawdziwie, pani jesteś aniołem.

— Jestem Polką, nie więcej, odpowiedziała Jadwiga.

To mówiąc dobyła klucz z kieszeni, skinęła na młodego człowieka żeby wyszedł drugimi drzwiami, a sama powróciła do ciotki.

Poczeiwe jęj serce nie doznało innego wzruszenia nad serdeczną litość i uczucie obowiązku, każda ofiara z siebie zdawała jęj się prostą i naturalną rzeczą, z której najmniej chętnie ciągnąć się nie godziło.

Nie zastanowiła się nawet nad tém, że będąc młodą i niezależną, ściągala na siebie jakies podejrzenie uczucia, którego dla ранnego Juljusza

nie miała. nie pomyślała, że ją to kompromitowało, mówiąc zwykłym świata językiem. Ten Juliusz ramy, nie mógł jej wyjść z myśli, tak heroizm jego, do niego nie był podobny. Znała go jako salonowego młodzieńca. trzpiota i utracjusza. który dość natargliwie grzecznościami się jej swemi narzucał, nie mogła go sobie wyobrazić bohaterem walki ulicznej, bo w nim nigdy najmniejszego nie widziała zapалу.

Powiedziała sobie jednak, że się omylić musiała i szczerze żałowała, że go tak pokrzywdziła. Zadunana weszła do salonu, przypominając sobie wszystkie sceny z romansów i powieści, w których ranni młodzieńcy zdobywali serca swych opiekunek i powiedziała sobie, że na tak proste rozwiązanie dzisiejszej sceny nigdy nie pozwoli.

W salonie zastała ciotkę zawsze we łzach i modlącą się jeszcze. Pocziwy pudel Chochlik, który sobie wyobraził, że płacz starzej pani przyzwyczajeniem się utulić potrafi, najzabawniej w świecie stał przed nią na dwóch łapach i służył.

— Moje dziecko kochane, cóż to będzie? zawołała ciotka.

— Cioteczko, żyliśmy dosyć w czasach spo-

koju i prozy, wchodzim w epokę poezji. za to się na losy gniewać nie trzeba.

— A! ty moja orla natura! z wyrzutem odezwiała się ciotka. tobie koniecznie potrzeba łez, krwi, mordów, bohaterstw, szczyku i wrzawy, ażebyś poczuła życie. a życie ma swą poezję ci-szy i błokiego uspokojenia, którego ty jeszcze nie rozumiesz!

— Ciocia zapomina, że ja nie mam jeszcze lat dwudziestu, że nie nie widziałam, nie nie znam i wszystkiego pragnąć mam prawo!!

Gdy tak rozmawiały, a Chochlik chodził za swoją panią patrząc jęj w oczy, wyglądająca oknem Jadwiga postrzegła dorożkę, która zajężdżała w dziedziniec, mignęła się w niej twarz dosyć blada Juljusza, serce uderzyło mimo woli, był to przecie jeden z bohaterów dnia tego.... Ale tak nie sympatyczny! mimowolnie powiedziała sobie w duchu.

— Prawdziwie są ludzie szczęśliwi, otóż nie zaśluzony, jedną kulą staje się bohaterem, kule są czasem nie roztropne!!

Na wschodach słyhać było ciche i ostrożne stąpanie. potem Jadwigi ucho uchwyciło szeceł znajomego sobie zamka, ledwie nie pożałowała tego co uczyniła. ale się zawstydzila swego uczucia.



— Moja ciociu, rzekła. już dziś to się na dół do ciotki przenoszę, widząc cię tak niespokojną, wolę być z tobą razem.

— Ale ci tu będzie niewygodnie.

— A! kto nie ma lat dwudziestu, temu wygodnie wszędzie.

Słudzy jakoś się zebrali na danie obiadu, który przeszedł bez chęci do jedzenia, w milczeniu przerywanym smutną rozmową i odbieganiem do okna. Ale szary smutny wieczór ciemno wilgotną szatą powlekl wkrótce ulice miasta, cisza jakaś złowroga zaległa ulice, ledwie ją stukot szybko pędzącej dorożki rzadko kiedy przerywał.

Jadzia się mocno niecierpliwiła zupełną niewiadomością dalszych dnia wypadków, ale zwał jej było zasięgnąć?

Był wprawdzie w tym samym domu gdzieś pod strychem mieszkający człowiek, coby najlepiej mógł o wszystkiém objaśnić, ale... był to bardzo młody człowiek, na nieszczęście przystojny chłopiec, choć bardzo przyzwoity, w towarzystwie weale nie salonowy. Ubierał się bardzo po prostu, mówił bardzo otwarcie, i, jak każdej pocztówi duszy której świat nie zgniótł, nie starł i w swoją formę nie urobił, obawiano się go trochę. Nie Jadwiga, bo dla niej ta prosta szczerą natura,

miała wdzięk dzikiego kwiatu, ale poczeiwa ciocia nawykła do arystokratycznych form, nie umiała się na nim poznać.

Był to młody aplikant budowlany, dusza i serce artysty, rozkochany w sztuce, rozmiłowany w swém ubóstwie, niezależności, biedny sierota, ale z promykiem genjuszu na czole. Nie wiem, jakim trafem poznał się on z Jadwigą, która go zaprosiła, aby u nich bywał i ciotce przedstawiła. Od téj pory ciocia codziennie odnawiała wieczorem trzy Zdrowaś Marja, na intencję, żeby z tego jakiejś awantury nie było. Wyobrażała ona sobie, że tego rodzaju młodzi ludzie są najniebezpieczniejsi, miała może trochę słuszności, ale się myliła w tém, że się lękała natręctwa i natarczywości, gdzie jak największą spotykała nieśmiałość i jak najdzikszą dumę.

Karol Glinński, pomimo okazywanych mu przez pannę Jadwigę szacunku i sympatij, niezmiernie rzadko okazywał się w salonie. Może przelekły i zimny wzrok ciotki go odstręczał, może bał się być posądzonym o jakieś zamiary, ubogiemu sierocie nie właściwe, może naostatek wstrętliwe dlań było towarzystwo młodzieży strojnej, trzpiotowatej i zajętej bezwstydnym polowaniem na posag pięknej dziedziczki. Instynkiem kobiety, przeczuciem

serca, wiedziała Jadwiga, że Karol nie mógł być obcym temu co się w mieście działo, że musiał do wszystkiego należeć i o wszystkiém wiedzieć. Niezmiernie jęj się chciało posłać kamerdynera i prosić go do siebie pod jakimkolwiek pozorem, nie wiedziała tylko jak się z tego ciotce wytłomaczyć i pozwolenie jęj uzyskać. Kręciła się długo z tą myślą, a nie przywykła do mileżenia i udawania, w końcu wybuchła nagle.

— Ale jakże my tak możemy wytrzymać w zupełnej niewiadomości, doprawdy zasnąć nie będzie podobna! Ja się koniecznie muszę dowiedzieć, choćbym po pana Karola posłać miała, dodała ciszej nieco zarumieniona.

— Ależ mogłabyś posłać po kogo innego, odezwała się ciotka. Po księcia L. lub hr. K., przyznam się, że to by było przyzwoicij...

— Kiedy ciocia tak mówi, odezwała się zwało Jadwiga, to niechże ja raz wiem co ciocia ma przeciwko Karolowi?

— A! ja nie przeciwko niemu nie mam, może to być bardzo zacny młody człowiek, ale widzisz moje kochanie, nie jest to zupełnie właściwa dla ciebie znajomość. Młody chłopak ubogi, nie naszego świata, nie z naszego towarzystwa, ty go tak

jakoś bardzo ośmielasz, gotowo mu się w głowie zawrócić.

— Niech ciocia będzie spokojna, prędzej się tym wszystkim fireykom pozakręcają głowy niż jemu, dumniejszy on jest od granda hiszpańskiego, i dla tego samego żem ja bogata a on ubogi, nigdy o mnie nie pomyśli.

Ciotka się z lekka uśmiechnęła.

— No, no, rób sobie jak chcesz, ja ci się nie sprzeciwiam...

Jak strzala pobiegła panna Jadwiga do dzwonka, Chochlik szczekając za nią, wszedł kamerdyner któremu kazano pójść prosić pana Karola, pies się za nim wysliznął.

W chwilkę potem otwarły się drzwi i ukazał się naprzód, Chochlik z wielce tryumfującą miną ciągnący za połę czamarki pana Karola, za nim sam obżałowany. Na twarzy przybyłego mężczyź, przystojnej, energicznej, w tej chwili odbijał się cały niepokój, całe wzruszenie, jakie wypadki dnia tego na każdym wypiętnować musiały. Wszedł zmieszany i nie śmiały, trochę się broniąc psu, który z radością biegał koło niego, podskakiwał i naszczekiwał, jakby go do zabawy wyzywając.

— Najmocniej przepraszam pana, podając mu rękę, odczuwała się Jadwiga, ale niepodobna

wytrzymać w tój głuchėj ciszy o niczém nie wiedząc, na miłość Bożą cóż się stało? Jak się to skończy?

— Wszak panie wiedzą, rzekł Karol spokojnie, o wypadkach rannych, o strzelaniu do ludu?

— I tyle tylko wiemy, odpowiedziała Jadwiga, ale dalej??

— Trudno to wytłumaczyć, zdaje się, że albo Gorezaków się zląkł, albo nadeszły jakieś rozkazy, ale znikli, lud ciała zabitych złożył i strzeże w Europejskim hotelu, dużo więcej podobno potopili moskale, mówią o wielu rannych...

Jadwiga się zaczerwieniła.

— Miasto w tój chwili wybrało delegację która pojechała do Gorezakowa, są w niej kupcy, mieszczanie, duchowni, dziennikarze, którzy się ulęknąć nie powinni. U Zamoyskiego obmyślają adres do cesarza, ale to się na nie nie przyda. Wojsko moskiewskie jakby odebrało rozkazy, zachowuje się spokojnie i zdaje do niczego nie mieszać... resztę jutro okaże.

— Jak to? zawołała Jadwiga, i wszystko to miałoby się skończyć pocałunkiem zgody??

Karol uśmiechnął się poważnie.

— Nie wiem. rzekł, rzeczy dziś tak stoją, że o niczém wyrokować nie można, nie zdaje mi się



jednak, ażeby ten wielki ruch sere i umysłów, dał się jakimiś polowicznemi środkami zatrzymać. Kraj jest w rozdrażnieniu nie jedną tą chwilą, ale długim lat ciągiem wywołaném; nie zaspokoi się lada czém. Na dziś jednak niech panie będą spokojne, noc przejdzie cicho.

— Ale cóż, mnie pan chyba masz za tchórza, ja się wcale nie boję, mnie idzie o kraj, o Polskę, o przyszłość, a pan mnie jak dziecię kołyszysz nadzieją ciszy i spokoju!!

— Bo doprawdy nie więcej w tej chwili powiedzieć nie umiem, a jutro tysiącem zasłon pokryte.

Chwilkę jeszcze krótką zabawiwszy Karol, który wyraźnie był jak na szpilkach, pożegnał się i wyszedł.

Jadwiga powiodła za nim oczyma, pudel odprowadził go aż do drzwi łaszac się i liżąc po rękach, jakby go chciał zwrócić i zatrzymać.

— Widzi ciocia, jaki skromny, jak przyzwoity, a ja powiem, że daleko lepszego wychowania od tych co tu u nas za Paryżanów uchodzą. Miałam zręczność się przekonać, że więcej jest szlachetnych uczuć i delikatności w ludziach, których to mniemane dobre wychowanie nie po-

psuło, niż, niestety! w świecie co za kwiat towarzysztwa uchodzi...

Ciotka westchnęła.

— Widzisz w nim wszystkie doskonałości, rzekła, a mnie to przestrasza!

Śmiały się później obie i z tego strachu i z tej sympatji, rozmawiały długo, aż ciocia poziwając zaczęła i po północy potrzeba było pójść na spoczynek. Jadwidze przychodziło na myśl dowiedzieć się o swego pacjenta, ale dziwne jakieś uczucie wstrętu ją wstrzymało, posłała tylko zaufaną służącą. i wszystko co choremu mogło być potrzebném.

Panna Jadwiga nie umiała sobie wytłumaczyć tego wstrętu jaki czuła dla bohatera zamkniętego w jej pokoju. Przy swym charakterze energicznym i śmiałym byłaby pewnie sto razy pobiegła mu na ratunek: jakaś niewidzialna siła wstrzymywała ją. Obmyśliwszy wszystko co było potrzeba dla wygody chorego, zabrawszy swe sprzęty i znalazłszy powód do pozostania przy ciotce, dała mu chorować spokojnie, nie bardzo się o niego troszcząc.

Może też ci kochankowie ranni, których tyłu spotyka się w romansach, wstrętliwie pospolicym czynili dla niej ten wypadek. Nie chciała być heroiną z powieści i to jeszcze oklepanej i zpowszedniałej.

Wprawdzie i pan Juljusz nie bardzo na współczucie zasługiwał, należał on do tego świata paniczów, z którego Jadwiga nielitościwie szydzi-

ła. Więcej Francuz niż Polak, człowiek bez żadnych przekonań, zużyty i wyżyty, był dla niej ideałem istoty antypatycznej. Życ zaczął w bardzo młodym wieku, w dwudziestym piątym roku był już stary, zimny, a co najgorzej fałszywy.

Z gorącą czcią dla prawdy, w duszy, Jadwiga brzydziła się wszelkim fałszem, a znajdowała go nie tylko w słowach tego człowieka, ale w jego ruchach, postawie, obejściu, wejrzeniu. Suchy, słuszny, jasno-blond, pan Juljusz byłby może przystojnym gdyby chciał być sobą, ale zdawał się ciągle naśladować kogoś, grać czyjąś rolę i nieznosnie ją przesadzać.

Panna Celina, pokojówka Jadwigi, nieznierennie się od razu zajęła losem chorego, biegła ona nieustannie do pani, chcąc ją także zainteresować, wcale się to jednak nie udawało.

Po kilkunastu dniach Micio przyszedł panie Jadwidze podziękować za schronienie dane przyjacielowi, który, chociaż nie zupełnie zdrow, miał się tego dnia wynieść do innego mieszkania, a później sam przyjść podziękować za jej uczynność.

Wracając do swego apartamentu, znalazła Jadzia na stole olbrzymi bukiet, i jakby zapomniany wiersz wyraźnie najczulszém natchniony

uczuciem. Poezja nie bardzo złą była, a nawet nadto dobrą żeby ją panu Juljuszowi przypisać było można. Posądziła go o plagiat ale ją jednak schowała.

Cała ta historja jakies przykre na nięj zrobiła wrażenie, dla czego? tego sobie nie umiała wytłomaczyć. Może też i ten romans w dniach gdy wszyscy zapominali o sobie, zdał się jój nie stosownym.. było w nim nadto cynizmu.

W dzień przenosin pana Juljusza postrzegła, że Celina miała oczy czerwone, była bardzo zamysłoną i milczącą, co dziwniej we dwa tygodnie potem, zażądała wyjechać do krewnych, a mimo to Jadwiga widywała ją często przejeżdżającą mimo okien i do zbytku wystrojoną.

O panu Juljuszu i jego ranie nikt w mieście zdawał się nie wiedzieć, przyjaciele tak to w tajemnicy trzymali, że zaszczytna ta ofiara całkiem światu była zakryta. Ciocia nawet nie domysliła się wcale tego szlachetnego Jadwigi postępku.

---



Wśród téj gorączki, która trwała do dnia 8go Kwietnia, rzadko kto utrzymać się potrafił w zupełnym spokoju ducha. Dla najmniej wprawnych oczu widne już były następstwa rozpoczętej walki. Chwilowo użyzione swobody widocznie ukrywały postanowioną już represją silną, najłżejszy powód mógł ją sprowadzić. Byli jednak tak naiwni, tak zacni i poczciwi ludzie, którym się zdało, że Moskwa zmuszona ustąpi bez boju, a kraj odzyszcze niepodległość bez krwi rozlewu... Dziś gdy to piszemy, to przekonanie wydaje się nam śmiesznością, zapisujemy go wszakże, bo podzielało je wiele najpoważniejszych umysłów. Najzacniejsi ludzie nie mogąc przypuścić aby się rząd miał chwycić środków gwałtownych i bezprawnych, oceniając go lepićj niż zasłużył, nie widzieli innego końca tylko dobrowolne wycofanie się Moskali. Słyszano te przepowiednie z ust

najpoważniejszych, szczególniejszych starszych ludzi, młodzież bowiem widziała przed sobą nieuchronność boju, i dążyła do niego. Pomimo, że umysły zaprątnione były prawie wyłącznie sprawą ogólną, rzeczy ludzkie szły swoim trybem.

Po domach prywatnych, jeśli się nie bawiono gwarnie, zgromadzono się z żywszem może zajęciem na rozmowy, niż dawniej do tańca i muzyki. Młodzież gorzała, starszym lży biegły z oczów, a lękliwi obawiali się pokazać ze strachem, i udawali mężnych.

Salon panny Jadwigi pełen był zawsze, a jak zwykle w podobnych czasach stosunki towarzyskie są łatwiejsze, znajomości szybsze, i tu czuć się to dawało w większej różnitości postaci i swobodzie ruchów.

Miljony panny Jadwigi przywabiały zawsze mnogich wielbicieli z tego świata co na grosz pracować nie umie i nie chce, a radby go zdobyć choćby zaprzędaniem. Nie mało było paniczek, ale ci jakoś co dzień się tu czuli mniej swobodni.

Jadwiga była pociągniętą coraz wyraźniej ku innemu światu, w którym więcej znajdowała ognia i życia. Zapraszała nie tylko Karola, ale jego towarzyszków i przyjaciół, byle się tylko o

ruchu, o postępie usiłowań patryotycznych dowiedzieć. Ciotka, która się z początku opierała temu, nakoniec pochwycona uczuciem, uległa. Prawie codziennie w godzinie herbaty przesuwało się mnóstwo osób przez salon panny Jadwigi, ona tu bowiem była prawdziwą gospodynią.

Jednego właśnie z tych wieczorów, o których mówimy, natłok był większy niż dni poprzedzających; do koła herbacianego stolika zasiadła cała młodzież znana nam już i nie znana. Piękny pan Edward, hrabia Albert, szanowny Dunio, pan Mieczysław, błady Juljusz i wielu innych. Dziwnym trafem obok tych ludzi wyperfumowanych, stali i mieszkańcy trzeciego piętra, Karol Gliński, jeden uczeń szkoły sztuk pięknych, młody aspirant na lekarza i kilka równie skromnych postaci.

Towarzystwo naturalnie w jednolitą całość zbicie się nie mogło, mimo usiłowań panny Jadwigi, która unję arystokracji z demokracją zawiązać pragnęła. Paniczycy byli grzeczni ale zimni, demokraci niegrzeczni i gorący. Przymuszani zachować pewne formy, wyłamywali się z nich cichemi szeptami i półśmieszkami znaczącymi. Z pewną wyższością panowie raczyli rozprawiać z młodzieżą, ale i tę łaskę tonem rozmo-

wy uczuć dawali. Wprawdzie drugi marca założył był posady tego wielkiego zjednoczenia wszystkich stanów, wyznań i przekonań, ale łatwiej daleko było przejednać szlachcica z izraelitą, i chłopca z panem, niż salonowych ludzi z ulicą. Na polu teorji był to fakt spełniony, ale w życiu odzywały się stare grzechy: sprzeczały się zasady, poglądy, gusta, wszystko aż do postaci i strojów. Ponieżykowicie źle ukrywali swe nieukontentowanie z wypadków, co krok zarzucając im przesadę, namiętność i dziecinną gorączkę.

— Moi panowie, odezwała się Jadwiga, zwracając się do Karola, dla którego z szczególnemi była względami, powiedzcie mi jak się to wszystko skończy? wybaczenie, ale jestem zupełnie jak młoda panienka, która zaczawszy czytać zajmującą powieść, pragnie co najprędzej dowiedzieć się czy bohaterka pójdzie za ukochanego?

Hrabia Albert, któremu zawsze o to chodziło aby wielkim rozumem zajaśnić i zaćmić wszystkich wymową, choć się pytanie wcale do niego nie stosowało, pierwszy głos zabrał; Jadwiga z wyrazem zdziwienia zwróciła się do niego.

— Mnie się zdaje, rzekł, że empiryczny sąd o wypadkach nigdy nie da zadowalniających wniosków, trzeba się uciec do tych niezawodnych

formuł wyciągniętych z doświadczenia, które jak tablice logarytmów nieochybne dają rozwiązanie.

Nie jesteśmy ani wyjątkami z pod prawideł rządzących światem, ani w położeniu zupełnie bezprzykładnem, zatem znalazłszy odpowiednie sytuacji wyrazy, znajdziemy rozwiązanie pytania. Wiek nasz jest przede wszystkim epoką spokojnego rozwoju wszystkich sił wewnętrznych, epoką prac pokojowych, przemysłu, handlu, sztuki, nauk. Więc wielkie kataklizmy, które temu życiu stałyby na zawadzie, które dotkną tysiące interesów materialnych i duchowych, są dla naszego wieku niepodobieństwem.

Przypuszczam zamęt chwilowy u nas lub gdzie indziej, (to gdzie indziej dowodziło nadzwyczajnej ostrożności mówiącego) coż jego koniecznem następstwem? Oto szwank we wszystkich życia europejskiego organach, oto przymus dla Europy do czynnego interwenjowania w interesie własnym. Dajmy, że następuje wybuch, który może rozbudzić w całej Europie żywioły rewolucyjne, Europa cała jest interesowaną aby mu trwać nie dała.

— Z mocy téj teorji, przerwał Karol, widzi mi się, że gdyby się u nas co zrobiło, Prusy i Austria przyczyniłyby się do zadławienia, a re-



sza Europy poklasnęłaby obrońcom pokoju i porządku.

— Nie zupełnie pan zrozumiałeś myśl moją, odparł hrabia Albert, nie patrząc nawet na tego, który mówił.

— Ale i hrabia nie zupełnie mi odpowiedział na pytanie, dodała Jadwiga. Mnie idzie o to czy Polska powstanie aby potargać swe więzy lub olbrzymią sobie wysypać mogiłę, o to czy zgniecenie, znękanie, skuci, upokorzenie, znajdziem w sobie tyle sił by dać znać światu, że nie jesteśmy trupem. O ostatni akt tego wielkiego dramatu nie ludzi, musiałabym spytać chyba Boga, bo on jeden wie jak się kończą te boje heroiczne. Czy zniszczeniem Trojańskim, czy prozaicznie śmieszną odrodzoną Grecją z Bawarami, czy cudownym zmartwychwstaniem Włoch! Ja się lękam nie téj śmierci na krzyżu i w mękach, co daje apoteozę męczennikom, ale ostatecznego upodlenia i przedśmiertelnych konwulsji bez jęku i władzy...

Te słowa wyrzekła z takim zapalem, że się jej oczy rozpromieniły łzami, była piękną jak natchniona kapłanka.

— Tem pytaniem, rzekł szybko Karol, wyrwałabyś pani z duszy na siedem pieczęci zam-

kniętej odpowiedź, gdyby ona w tej chwili nie była zdradą. Pani! nie godzi się pytać o to!!

Zamilkł, Jadwiga się zaczerwieniła i podała mu rękę jakby go przeprosić chciała. Kwaśny uśmiech przeleciał po ustach hrabiego Alberta, który pozazdrościł plebejuszowi tej białej dłoni i rzekł z przekąsem:

— Przestroga, którą pani otrzymujesz jest tak znaczącą jak odpowiedź, zapewneś ją pani zrozumiała?

— Tak dalece, odparła Jadwiga, że o nie więcej nie pytam.

— A pytań epoka nastrocza tysiące. podchwycił żywo hr. Albert, żeby nie stracić zręczności perorowania.

— Na przykład? zapytała Jadwiga.

— Cóż to, gramy w pytania i odpowiedzi? z niejakim szyderstwem zbliżając się wyrzekł powoli pan Juljusz, gra to bardzo zabawna, a że żałoba w modzie, a tańce zakazane... *les petits jeux innocents* bardzo są na dobie.

Ton jaki sobie od niejakiego czasu dawał Juljusz wcale się nie podobał Jadwidze, widocznie usiłował swem obejściem się dać do zrozumienia towarzystwu, że miał w tym domu pewne prawa, po prostu mówiąc, że był, lub narzecz-

nym, lub bardzo blizkim zamężcia z Jadwigą. Dostrzegła ona tój dziwnej zmiany w Juljuszu od czasu jak wyzdrowiał, na myśl jćj przyszło, że mógł z szlachetnie mu dozwolonego pobytu korzystać w sposób niegodny, oburzało ją to tak silnie, że wszelkiemi sposoby starała mu się okazać nietylko obojętność ale wstręt prawie, Juljusz jednak jakby tego nie widział, lub nie rozumiał wcale, nie zmieniał trybu postępowania, przybierał to dziwny jakiś ton poufały, to poważny i protektorski, to prawie szydery, to przesadnie miłosny i czuły. Nie go nie zrażało, jak gdyby nadto był pewien uczuć Jadwigi i takimi fraszkami lub chwilowemi dziwactwy, wcale się nie zaprzątał. Postępowanie jego było tak zuchwale obrachowane, iż łatwo w błąd wprowadzić mogło.

Dumna dusza Jadwigi oburzała się na ten ucisk, na tę przewrotność z dziwnym machiawelstwem wyspekulowaną. Od dawna postanowiła mu dać uczuć w obec obcych, niewłaściwość jego postępowania, okoliczność nastroczała się dobra, świadków było dosyć, a stan duszy usposabiał do śmiałego wyrazu.

Juljusz oparł się na poręczy jćj krzesła, a twarz jego od męczyzny wyzywała policzka, od

kobiety przynajmniej równego mu słowa. Jadwiga zarumieniła się jak wiśnia, oczy jej zapłonęły gniewem, ścięła usta, ale żarcik Juljusza nie był jeszcze dostateczny do wywołania karejącej nauki.

— Rzeczywiście, odpowiedziała. gra w pytania i odpowiedzi jest wyborną, ja ją bardzo lubię, gdyby mi jednak przyszło panu zadać pytanie zastosowane do niego, nie mogłabym spytać o co innego nad to, gdzie pan byłeś wychowany?

Juljusz zarumienił się bardzo, całe towarzystwo usłyszało odpowiedź Jadwigi i lekkie śmieшки jak z panewek spalające podsypki słyszeć się dały w demokratycznej kupce. Panicz czuł się w obowiązku odparcia pocisku, ale w pierwszej chwili słowa nie znalazł.

— Czy pani to wychowanie tak niedostatecznym znajduje? rzekł jakając się.

— Przynajmniej wielce oryginalnem, odparła Jadwiga.

— Oryginalność jest tak rzadką, rzekł Juljusz, iż to prawie za pochwałę ująć może.

Mówił to do krzeselka, gdyż Jadwiga nie czekając odpowiedzi obróciwszy się doń plecami, poszła do ciotki. Juljusz został, dosyć zmieszany, nachylony nad poręczem i wystawiony na śmieszność.

Każdy inny mniej zrujnowany a nieco czulszy, wziąłby był powoli za kapelusz, wyniósłby się po cichu z salonu i więcej by do niego nie powrócił.

Juljusz wściekle gniewy, zbladły ale doskonale aktor, pobiegł udając śmiech za Jadwigę, coś do niej poszeptał w bardzo poufalej postawie, i nadał temu wszystkiemu wybitny charakter małej sprzeczki kochanków, którzy tak bardzo słów nie wazą i nie lękają się sobie coś ostrego powiedzieć, wiedząc jak się kochają.

Jadwigę prawie do łez ten postępek poruszył, powiedziała sobie w duszy, któż mnie od tego człowieka uwolni? a oko jej mimowolnie zwróciło się w stronę Karola, którego twarz wyrażała zarazem oburzenie i litość.

Jadwiga nie długo się namyślając, wprost poszła ku niemu i zmusiła go prawie biorąc na przechadzke po salonie do długiej sam na sam rozmowy. Na nieszczęście ta strategia na prędko nie była trafna, dla zimnych świadków mogło to uchodzić za chętkę obudzenia zazdrości w narzeczonyn — Juljan z tego skorzystał i z wielkim uszanowaniem przymilał się ciotce skarbiąc sobie jej łaski. Jednakże po chwili szepnąwszy coś hr. Albertowi, wyszedł nieznacznie z salonu.



Wieczór był późny i inni téż pouchodzili powoli. Towarzysze i przyjaciele Karola zebrali się u niego na bardzo skromną kawalerską przekąskę. Panieze zaproszeni przez Juljusza poszli do Angielskiego hotelu na zamówioną przez niego wieszę; ale ten los który niesłusznie ślepym nazywają, zrządzil, że prawie równocześnie z paniezami i Karol wezwany został przez przybyłego z prowincji obywatela do Angielskiego hotelu, porzucił swych gości i pobiegł do obowiązku...

Po drodze nie od rzeczy będzie nakreślić tu charakterystykę tej gospody, niegdyś dziedzictwa Gąsiorowskich, która miała szczęście być chwilowym przytulkiem cesarza Napoleona powracającego z Moskwy. Dotąd na dole ukazują pokój, przy którego kominku odegrywał się po mrozach moskiewskich. Aż do wybudowania hotelu Europejskiego, Angielski uchodził za najbardziej *fashionable* i *comfortable*, a nawet po wzniesieniu Europejskiego kuchnia Bouquerela pozostała najwykwintniejszą w Warszawie. Może dla tego moskale którzy i lubią jeść i radziły świat przekonać że surowém mięsem nie żyją, mimo drogości kuchni, tu się najczęściej na obiady i wieczerze zgromadzali. Ludzie miłujący spokój i dbający o to, aby ich policja dobrym widziała okiem, także

tu chętnie przybywali: należało do dobrego tonu jeść u Bouquerela. Po cichu dodać potrzeba, że pod skrzydła dobrze ustalonej reputacji hotelu Angielskiego, tulił się czasem nie jeden, co podejrzliwych oczów rządu ujść pragnął. Sekretnej agencji nie domyślali się, że obok stolika przy którym spijał szampana oficer od gwardji, spiskowano jak w najlepsze przy butelce czerwonego wina.

Właśnie gdy panicze ucztowali przy drzwiach otwartych w ostatnim gabinecie od jadalnej sali, Karol w progu samym naradzał się z młodym człowiekiem, którego strój wskazywał świeżo przybyłego z prowincji wieśniaka.

W przyległym pokoiku Juljusz rozsiadłszy się w fotelu, z bardzo dobrym humorem zapraszał swych gości na kapłona z truflami, którego tryumfalnie wniesiono. Do koła stołu siedzieli hr. Albert, Micio, Dunio, pan Edward i świeżo zaproszony Henryk Gros.

— No, rzekł ostatni, nalewając sobie szklankę wina, co mówicie o wypadkach? My starsi nie tego nie rozumiemy, rachuby mylają, przeczucia zwodzą, a najpłochsze nadzieje urzeczywistniają się jakby cudem?

— Ja się nie dziwię, odparł Albert zawsze

chciwy mówienia, że najpoważniejsze umysły dają się obalamucić wypadkom. Wrażenie teraźniejszości jest tak silne, że chwilowo na przyszłość zaślepia; ale bądź co bądź, dla umysłów przezorniejszych przyszłość jest straszna. Powtarzam po setny raz, potrzeba było iść powoli, nieznacznie, w granicach możliwości się utrzymując, potrzeba było jak rożumni Węgrowie czekać, cierpieć, i wszystkiego na kartę nie stawiać.

— Stokroć masz rację, rzekł Juliusz, wszystko to robota chłystków i sowizdrzałów, niedowarzona, niedopieczona, która nas wszystkich może drogo kosztować. Nie wiem czy panowie słyszełście, przyjechał tu był z Chrobrza margrabia Wielopolski z synem Zygmuntem. Człowiek, jak wiadomo, potężnej inteligencji, prawdziwy mąż stanu, może jedyny w Polsce, przywiózł z sobą projekt bardzo rozumny, ofiarował się sam jechać z nim do Petersburga; Zygmunt mi go czytał. Cóż powiecie panowie? nie przyjęto go, żądano poprawek, i Margrabia rozgniewany wyjechał napowrót do Chrobrza.

— Nie wielka szkoda! rzekł Henryk, nie ma co o tem mówić.

— Jak to? odezwał się Edward pierwszy raz zbierając się na odwagę do publicznego wystąpie-

nia ze swemi przekonaniami, jest o czém mówić; codzien bardzićj owładywa krajem jakaś młodzież nieznana, spycha ludzi poważniejszych, i ciągnie naród za sobą do przepaści...

— Ale bo znowu nie trzeba przesadzać, rzekł Albert, wszystko się to skończy na ogromnych ciągach które ci panowie wezmą. Łada dzień wystąpią przeciw nim i zgniotą...

Henryk zaczął się mocno śmiać, spojrzano na niego, ale zapytany o przyczynę, ruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

— Tymczasem, rzekł Juliusz, to jest rzecz bardzo nieprzyjemna dla nas, ten zamęt który miesza człowiekowi wszystkie jego zajęcia i projekta. Ludzie porządni i spokojni cierpią, a wreszcie i widok tych szalów nieznosny. Mnie to niecierpliwi do najwyższego stopnia.

— To rozumiem, rzekł Gros, wszyscy wielbiciel panny Jadwigi, która, jak słyszę, więcćj jest teraz ojczyzną niż niemi zajęta, muszą przeklinać sprawę kraju dla sprawy serca. Ale, kiedy się o tém zgadało, dodał spoglądając po siedzących przy stole, jakże tam moi panowie? komu szczęście służy?

Oczy przytomnych skierowały się na pana



Juljusza, który zrobił minę skromnisią niechętnego się chwalić, ale pewnego siebie.

— Bo to różnie po świecie gadają, ciągnął dalej Gros, jedni utrzymują że panna Jadwiga jest rozkochaną w panu Edwardzie i starannie ukrywa to uczucie, ażeby go się świat nie domyślił, drudzy posadzają pana Mieczysława że się wkradł do jej serca. inni mówią że czyta Roschera, aby się przypodobać hr. Albertowi, a są. co twierdzą że pan Juljusz już po przyrzeczeniu, no, jakże? bądźmy szczerzy!?

— To mi się zdaje pewną, rzekł powoli Albert, iż sprawa serca panny Jadwigi, jak sprawa kraju, jest dotąd nie rozstrzygniętą.

— Chciałżebyś pan przez to dać do zrozumienia, podchwycił Gros, iż i tu także owaładnie jaki plebejusz?

— Nie spodziewam się, rzekł Albert, umysł to wzniosły...

— Ale się umysłem nie kocha, odparł Gros, a przynajmniej samym umysłem, panewką miłości będzie zawsze serce: czasem na tej panewce tylko spali i dalej nie pójdzie, a miłość prawdziwa musi przejść w końcu i do umysłu, tylko od niego się nie poczyna.

W czasie tej rozmowy Juljusz podśpiewywał.



poglądał szydersko, zdawało się jakby chciał coś powiedzieć i wstrzymywał wyrazy, nareszcie wyrzekł stanowczo:

— Prawdziwie, to osobliwsza rzecz, jak ludzie są ślepi kiedy widzieć nie chcą.

Wyrazy te z jego ust wychodząc, były pełne znaczenia.

— Ale, rzekł hr. Albert urażony, trafia się że pragnąc, widzi się to czego nie ma, a czego się tylko żąda.

— Tak sądzisz? rzekł Juljusz, i mocno znówu śmiać się zaczął...

Milezenie jego i półsłowa na obojętniejszych możeby takiego nie zrobiły wrażenia, ale wyjąwszy Grosa, wszyscy byli mniej więcej zakochani w pannie Jadwidze i po trosze przy nadziei.

Każdemu z nich zdawało się, że to lodowate serce roztopi. Hr. Albert wiele rachował na pomoc Bastjata, Micio był potulny i sądził, że kobiecie z energją przyda się jako miękka poduszka, Dunio rachował na swój dowcip, zwinność i na sprytek, Edward na prześliczną twarzyczkę, białe rączki, elegancję, dobry ton i przyzwoitą postać jakaby miał w karecie usiadłszy za krynoliną żony. Każdy z tych panów ludził się, że ją jakimś urokiem podbić potrafi, to raptowne wystąpienie

Juljusza jakby z pewnym tryumfem, dotknęło wszystkich.

— Mój Juljuszu, rzekł Albert, zdaje się, jak gdybyś już pannę miał w kieszeni, przyznam się, że mnie to moeno dziwi, ale jeśli tak jest, pozwól sobie powinszować i odkryj że nam szczerze to swoje szczęście...

Hr. Albert nie dokończył, wieczera już była doszła do szampauna, w głowach nieco szumiało, Juljusz milcząc pił dużo, był więc może w tym stanie podbudzenia w którym nie tak bardzo obrachowywa się słowa.

— Panowie pojmujecie, rzekł, iż *galantuomo* czasem jest zmuszony do milczenia szczególnemi względami.

— Doskonale to pojmuję, zwołał Albert, gdy nie idzie o małżeństwo, bo juściż nie spodziewam się żeby miało być morganatyczne?

— Ale do pewnego czasu, odparł Juljusz, może być potrzebną tajemnica.

— W takim razie, rzekł Gros, pozwól sobie powiedzieć, że ją trochę lepiej zachowywać należy. Choć nie mówisz nic, ale powiedziałeś wszystko.

— A mnie się zdaje, przerwał porywczo Edward który się aż zaczerwienił, że to co pan Juljusz powiada i to co zamilcza, jest poprostém żartem z nas wszystkich.

— Ja nigdy nie żartuję, rzekł Juljusz serio.

— Jeżeli tak, odparł Edward nagle wstając od stołu, to mnie pan zmusisz powiedzieć, iż to co nam dajesz do zrozumienia jest po prostu — nie prawdą.

— O! to grubo! rzekł Gros śmiejąc się.

Juljusz zagryzł usta, oczy mu zaświeciły, spojrzał na Edwarda i rzekł bardzo powoli:

— Mogłbym się strasznie obrazić za zadanie mi fałszu, ale młodość pana Edwarda jest wymówką jego nierozwagi, nie będę się nawet gniewał. Jestem zmuszony do niedyskrecji zadaniem mi fałszu, a więc proszę zamknąć drzwi, złożę dowody przekonywające, że mówiąc z taką pewnością o stosunkach moich z panną Jadwigą, miałem do tego pewne prawa...

Właśnie gdy Juljusz wymówił zamknąć drzwi, oczy biesiadników zwróciły się ku nim, i ujrzeni w progu stojącą postać Karola poważną i groźną.

— Za pozwoleniem, odczwał się Karol, drzwi zostaną odemknięte jak były gdyście panowie mówiąc płocho i nierozważnie o kobiecie, przypuścili do waszych zwierzeń wszystkich gości traktjeru a nawet kelmerów. Nie ja jeden ale kilka osób, weale nie myśląc podsłuchiwać, słyszały wy-

znanie pana Juljusza. Ja mam szczęście być przypuszczonym do tego domu o którym była mowa, czuję się w obowiązku, jako życzliwy mu, wmieszać się do téj sprawy i wymagam tłumaczenia.

Edward który się był nie bez pewnego rozrachunku nastroczył na obrońcę, bardzo był nie rad że się inny znalazł. Karol wydawał się tak groźnym że rzecz lada czém skończyć się nie mogła.

Juljusz jednak spróbował po pańsku dać mu odkosza.

— Cóż to jest? wymagam? odparł, ja pana nie znam i od nikogo nauk ani rozkazów nie przyjmuję!

— W takim razie, rzekł Karol spokojnie, możesz pan być zmuszony przyjąć to, co od nauki i przestrogi bolesniejszém będzie.

Juljusz porwał się z krzesła rozwścieczony, i zawolał:

— Nie potrzebuję się tłumaczyć, bądź co bądź, Jadwiga będzie moją, musi nią być!! Mam tu świadka przy stole, którego na honor wyzywam aby mi odpowiedział na jedno pytanie, tak czy nie? Mieszkalem w pokoju panny Judwigi ukryty przez dziesięć dni, tak czy nie? panie Mieczysławie?

Micio zbladł, pochwycił się za głowę, spuścił oczy i rzekł tylko z eicha biorąc za kapelusz.

— Ohydne!

Karol który stał w progu pobladł strasznie, hamował się widocznie, ale w końcu nie mogąc wytrzymać, zawołał grzmiącym głosem rzucając rękawiczkę pod nogi Juljuszowi.

— Skłamałeś pan! Zadaję panu fałsz i gotów jestem odpowiedzieć za to.

Edward pospieszył co najprędzej ścignąć ciasną swą glansowaną rękawiczkę, i rzucić ją także pod nogi Juljusza.

Zimna krew człowieka na którego tak napađnięto, była prawdziwie zadziwiającą.

— Pojedynek, jest to obyczaj czysto szlachecki. Czy pan jesteś szlachcicem? zapytał Karola.

— Nie, odpowiedział Karol drząc, ale w obyczaju mieszczan jak ja, jest kij którym się głowę rozwala, potwarcom. To mówiąc, plunął, ruszył ramionami i pomaleńku odszedł.

Juljusz za nim nie gonił. Edward stał, myślał i rzekł w końcu:

— Ja, jestem szlachcicem.

— Aleś smarkacz, rzekł Juljusz pogardliwie, zresztą jeśli chcesz się bić, to przyślij mi swoich sekundantów, pogadamy.



W téj chwili już prawie sam na sam z sobą zostali, bo reszta, widząc nieprzyjemną sprawę, którój z sali przyległej i przysłuchiwano się i przypatrywano, cichaczem się powynosiła.

Mówiono nazajutrz, a pan Edward uniał to bardzo zręcznie pogodzić, że między nim a panem Juljuszem nastąpiło spotkanie w lasku pod Marymontem. Najszczęśliwszym w świecie trafem, pan Edward był lekko szpadą draśnięty w nogę a Juljusz uszedł cało.

Wypadek ten pomimo zaprzątnięcia wszystkich sprawą ogólną, rozszedł się w najrozmaitszych opowiadaniach po całej Warszawie, zwrócił uwagę na Jadwigę, dał powód do plotek i podniósł pana Edwarda więcej niż zasługiwał. Domyślić się łatwo, że Karol ze swojego znalezienia się wcale chluby nie szukał, że o nim zamilczano, że cała wdzięczność panny Jadwigi zlała się na tego wyclegantowanego Edzia, który z wielką skromnością taił się z pojedyńkiem i raną, ale w taki sposób, że wszystkim o nich opowiadał w największym sekrecie.

Przyjaciele domu przestraszeni rozgłosem przybiegli do ciotki z radą i pociechą. Można sobie wystawić jakie to na słabej kobiecie uczyniło wrażenie, uczuła ona, że winą tego wszystkiego

spała w większej części na nią, dojmowała jej własna niedoleżność którą czuła, a wyjść z niej nie mogła, dla biednej kobiety było to straszną męczarnią czuć swą słabość i nie umieć na nią poradzić, widzieć za nią ukaraną istotę niewinną, i nie móc, choćby ofiarą życia, okupić jej szczęścia i spokoju.

Lecz o ile ciotka była przygnębioną i nieszczęśliwą, o tyle Jadwiga zimną i wyższą nad ten cios który ją dosięgnął.

Zadnej kobiecie obojętną być nie może jej dobra sława i poszanowanie u świata, ale słabe tylko umysły nie czując winy, lękają się potwarzy. Jadwiga zniosła chłód który ją zewsząd ogarniał z uśmiechem politowania i bohaterską oziębłością. Juljusz który może rachował, że opuszczona przez wszystkich, pozwoli mu się wytłumaczyć wielką miłością, przebaczy i poda rękę, mocno się na tym zawiodł. Raz na zawsze wzbroniono mu przystępu do domu. Panu Edwardowi podziękowała Jadwiga jak grzecznemu dziecku, które dobrze lekcje wyrecytowało. O Karolu nie wiedziała, w parę tygodni gdy ciotka płakała jeszcze w kątku, Jadwiga z rozjaśnionem czołem przyszła ją pocałować w rękę.

— Wię ciocia co, rzekła poważnie, proszę mnie tylko cierpliwie posłuchać... Różnemi drogami los prowadzi człowieka do jego przeznaczeń, wszystko co się stało, stało się doskonale. W jednej chwili z trzpiotowatęj dziewczeczki stałam się dojrzałą niewiastą, poznałam, że ten świat i ludzie w których kręgu żyć miałam, nie są dla mnie stworzeni; szlachetniejsze, większe uczucie niż staranie o moją własną przyszłość ogarnia mnie cała. W takich wypadkach jak dzisiejsze, rola kobiety może być niezuniernęj wagi, jest wolną od podejrzeń, jest prawie wolną od kary, może wejść wszędzie, działać potajemnie, wpływu swojego na ludzi użyć dla kraju, urok jaki ma obrócić dla pociągnięcia ostrygłych, zapal swój wlać w piersi obojętych. Nie chcę być heroiną głośną, ale cichą pracownicą być muszę. Czuję, że to moje przeznaczenie. Ci ludzie wyrządzając mi krzywdę, uczynili wiele dobrego. Widzę jasno moje obowiązki Polki, mam młodość, siłę ducha, majątek, zaciągam się w szeregi spiskujących, i niech żyje Polska! Choćbyśmy poginać mieli!!

To mówiąc, przyklękła, wzięła krzyżyk zawieszony na piersiach, pocałowała go i zawołała stanowczo: Ciociu! nie mnie od tego nie odwiedzie! przysięgam!!

---

Za prawdę trudném będzie zadanie historyka, który dzieje tych kilku ostatnich lat skreślić zechce. My cośmy byli żywymi ich świadkami, cośmy oddychali tą wulkaniczną atmosferą, dziś już nie jesteśmy pewni własnych wrażeń; był li to sen gorączkowy, czy rzeczywistość pełna cudów i dziwowisk? Człowiek nieco oddalony od tego czasu, znający go tylko z opowiadań i suchych sprawozdań książkowycy, nigdy nie potrafi odnalować żywej fizjonomji tak zmiennój i ruchomój, tak pełnój metamorfoz i cudów. Ze skieletu tych dziejów nie się o ich charakterze nauczyć nie będzie można, ani przez analogję odgadnąć.

Chwila to dziejowa, tak nadzwyczajna, że podobnój próżno byśmy we własnej i obcej historii szukali. Gdy zdawać się mogło katom, że ten naród, tylą ciosami chybionemi, nareszcie do-

bili, wstaje on z grobu bez orężny, ale z piersią. która pomstą bucha, wstaje żyw, silny, nie zwalczony i dobijający się nowego męczeństwa. Oprócz tego cudu zmartwychpowstania jest drugi nie mniejszy: głupoty i bezsilnej wściekłości oprawców.

Rosja, o której postępie, wzroście potęgi, nagłym wykształceniu i siłach wszelkiego rodzaju, tyle pisano i mówiono, że nareszcie przyjęto je za pewnik w Europie; Rosja, w obec tych wypadków, ukazuje się niedolęzną, słabą, dziecinnie dumną, i z całym swym barbarzyństwem, jak gdyby Piotr Wielki bród jej nie golil i sarafanów nie obcinał. Jej wielcy mężowie, statysci, wodzowie, wszystko co przeciwstawi Polsce jest tak nędznem i lichem, tak dziko barbarzyńskiem, że podziwiać się potrzeba nicości tej mniemaniej potęgi, która się jasno uosabia w jej najprzedniejszych reprezentantach.

Powiedzielibyśmy, że tracą głowy, gdyby można stracić to czego się nie ma; ale przynajmniej wyglądają na Tatarów, którzy zawojowali kraj cywilizacją swą i życiem, całkiem dla nich niezrozumiały. Tatarska duma przy tatarskiem barbarzyństwie, tatarska dzikość i ślepotą. Obok tego w jakimże blasku występuje naród, którego



młódź natchniona pierwsza rozpoczyna walkę rozpaczliwą; jaki cudowny instynkt oporu, jaka niesłychana wytrwałość czynu, co za instynktowa trafność w wyborze środków jakie stopniowanie w rozwinięciu całej sprawy! Jest w tem więc więcej niż uciskiem nabyta siła, jest widoczne działanie opatrnościowe, Boże; jest nie zbłagana sprawiedliwość losów, które żadnej zbrodni bezkarnie ująć nie dają. Mimo tych wszystkich zwycięstw, któremi się Moskwa chlubi, z jej dzikićj mściwości widać upokorzenie jakiego doznała, z jej szalu barbarzyńskiego, który się zuęca, nad bezbronnyimi, mści na starcach, kobietach i dzieciach, znać niedoleżtwa i niewiarę w swą przyszłość.

W pierwszych początkach nikt jeszcze wielkiej doniosłości faktów nie pojmował, zdawało się co chwila, że się siły wyczerpią, że po wielkiem ich wytężeniu nastąpi zupełna prostracja, nie przywiązywano też nadzwyczajnego znaczenia do mnóstwa drobnych ale charakterystycznych znamion. Zarówno rząd jak stronnictwo umiarkowane, byli pewni, iż dając trochę, zaspokajając gwałtowniejsze potrzeby, obiecując coś miłego na przyszłość, a zarazem karząc surowo i przerażając prześladowaniem, wprowadzą wszystko w karby dawnego porządku.

Dnia 8 Kwietnia, prześliczną francuzechyzną adjutant Gorczakowa baron M. zaklinał go, całując po rękach, aby choć kwartę krwi choremu dla uzdrowienia upuścić! Puszczano tę krew zupełnie z takim skutkiem jak doktorowie włoscy Cavourowi, bo za każdym jej przelewem choroba się zwiększała.

Margrabia Wielopolski, którego wyrażenie o 8 Kwietnia: („W k r w a w e m s t a r c i u o c a l o n y p o r z ą d e k!“) pozostanie na równi w historii ze słowami Sebastjaniego; Margrabia za każdym rozstrzelaniem i powieszeniem, pochlebiał sobie, że to będzie ostatnie. Jego dworacy przyносили mu wieści o pocieszających symptomach, on sam łudził się już powodzeniem i tryumfował w początkach branki, gdy wybuchło powstanie.

Pomimo nadzwyczajnych wysiłków i niesłychanego wyszukiwania środków przez rząd rosyjski, wypadki szły nieubłagany fatalności torem. Po uroczystym pogrzebie 2 Marca, który do szczytu podniósł ducha narodowego, Gorczaków wyblagawszy spokój proklamacjami, w których pierwszy raz oddawna zjawilo się urzędowe przyznanie Polski i Polaków, usiłował stracony urok władzy odzyskać, ale napróżno głaskano i grożo-

no na przemian, puszczoneo cugle i skracano je, wszystko było bezskuteczne, duch ujarzmić się nie dawał, sprawa narodowa rozwijała się i rosła. Objawy stanu umysłów były tak liczne i tak rozmaite, że gdy rząd jednym stawiał zapory, cała siła przechodziła w drugie. Gdy zamykano ulice, otwierały się kościoły; gdy zabraniano mówić lub śpiewać, gdy nie wolno było podnieść głosu, mówił strojem, kolorami jego, żałobą. Tu się nauczyć było można jak wiele ma języków boleść i miłość!

Powoli odwaga wchodziła do sere najbojaźliwszych, kółko zrazu małe gorętszych, rozszerzało się i rozprzestrzeniało, wszystkie stany, wszelka pleć i wiek niosły tu dań wedle możliwości. Kwiat przypięty w dniu wesela, gałąź palmowa niesiona w dzień wspomnień męczeńskich, wieniec nieśmiertelników rzucony przez bagnety na grób niewinnych ofiar, rozpoczęły walkę niewieścią, w której słabsza połowa okazała się silną, i równie gorącą jak mężczyźni. Była to z razu wojna pieśni, nabożeństw, kwiatów, sukien, godeł, dziwnej broni narodu, któremu wszelką inną odebrano.

Walka ta z wymiecionych gwałtem ulic przenosiła się do kościołów, do synagog, na cmenta-

rze, do domów; ale nie ustawała. Po trzydziestoletnim skuciu i bezwładności, moskalc zrozumić nie mogli tego nagłego wyzwania do boju, sztydli sobie z niego ufni w pozory swojej potęgi, wszystko co kiedykolwiek powiedziano o sile ducha dla nich było stracone, bo duch u nich nigdy nie wchodził w rachubę, przywykli byli rządzić przekupstwem i strachem, sprawiedliwości pozor wystarczał, idei prawa jeszcze do dziś dnia nie wyrobili w sobie.

Od dnia 8 Kwietnia ileż to faz przeszła ta sprawa nasza do 22 Stycznia 1863 r., ile pożarła ludzi, ile w niwecz obróciła teorji! Zrazu obawiano się użyć zbytnej srogości aby nie drażnić Polski i nie budzić Europy, narzekano na garstkę burzycieli, zrzucano winę na spiski i terroryzmu rewolucyjny, ale fakta zadawały kłanstwo wyrazom, wyprowadzano tysiące ludzi, a nieumiano téj garstki pochwycić. Potrzeba było srożyć się nad ludźmi wszystkich stanów i wyznać aby tych rewolucjonistów wyszukać.

Po rządach Gorczakowa, w których mimo nieludzkich strzałów na bezbronnych wymożonych na starcu przez jego doradców, było jeszcze wiele uczucia ludzkiego i choć trochę wstydu, krótkie rządy Suchozaneta wcale śmiesznie wy-

glądały, nie mu się nie wiodło, nawet jego walka z Wielopolskim, zresztą nie miał on ochoty brać się na serio do rzeczy, wiedział, że jest tu czasowo i na krótko, szło mu o wyciągnięcie jak najwięcej grosza bez narażenia osoby. Nie zabawniejszego, a zarazem heroiczniejszego nad obchód Unji lubelskiej, mimo nadzwyczajnego postrachu jaki naówczas rzucić chciało.

Bohaterstwo ludności Warszawy, w inny sposób, ale równie się wspaniale odnalazło tego dnia jak 2 Marca. Wojsko stało po wszystkich placach i i ulicach. działa ponabijane z lontami zapalonymi, obok nich przeciągała ludność wesola, swobodna, spokojna, postrojona w narodowe kolory, uśmiechnięta weselem, promieniejąca zwycięstwem.

Nieprzyjaciół uczuł się pierwszy raz bezsilnym w oblicz potęgi ducha, zabroniono iluminacji, ale wszystkie domy były wewnątrz oświecone rżęsisto, pełno w oknach kwiatów i wieńców, brniała z nich muzyka. Kobiety uboższe, które chodząc w przyjętej narodowej żałobie już nawet sukien kolorowych nie miały, poświęciły tego dnia elegancję obowiązkowi, włożyły stare ale jaskrawe, żeby niemi zgodną myśl całego narodu wyrazić.



Policja mogła wzbronić trzech połączonych narodowych kolorów, ale jak było przyczepić się do trzech pańienek idących z sobą pod rękę, z których jedna była ubrana biało, druga niebiesko, trzecia różowo?

Rząd tak ciągle, to ustępował, to uderzał całą siłą, nie odnosząc korzyści, ani z pobłażania które wznagało ducha, ani z surowości, które jego potęgę podnosiło. Wahano się widać w Petersburgu jeszcze co poczynać, zdawało się po kilku próbach bezowocowych, że przysłanie człowieka łagodnego jak hr. Lambert, wyrozumiałego, liberalnego niby, mogło rządowi pozyskać partję umiarkowaną, na którejby się mógł oprzeć.

Hrabia Lambert przybywszy, chciał się objaśnić, zasięgnął rady, wzywał do siebie wziętszych ludzi i obiecywał im mnóstwo pięknych rzeczy, ale gdy najumiarkowańsi na piśmie i w rozmowach dali mu uczuć jak wiele było potrzeba, ażeby choć na pół zaspokoić pragnienia narodu, musiał zwątpić, ażeby podolał zadaniu. Obok niego stojący Gerstenzweig, który rachował tylko na siłę, a całkiem zapominał, że w jego żyłach płynęła krew polska \*), przyłożył się do zwiechnię-

---

\*) Urodzony był z Madalińskiej córki znakomitego wo-  
dza naszego.

cia jako tako nastrojonęj machiny. Przez cały ciąg rządów Lamberta, pod osłoną praw wyborowych, które jeszcze niby szanowano, siła agitacji narodowej olbrzymie uczyniła postępy, ulica stała się teatrem scen oddławna niewidzianych, pobbłazanie już było niezrozumiałem. dla tych co nie przeczuwali, iż z za niego czychał przyezajony gwałt upatrujący tylko swój godziny. Ta chwila swobody przy troszce szalu i upojenia była niezrównanego uroku. Wszystkie symptomata życia swobodnego, od którego kraj odwykł zupełnie, probowały na wierzech się wybijać, potajemne druki sypały się secinami, codziennie przybijane na drzwiach kościołów zaproszenia na nabożeństwa wyraziście illustrowane, plakaty wszelakiej barwy, trybuni przemawiający do ludu w ulicach, burzliwe wybory miejskie, wszystko to znamionowało rozbudzanie się ze snu, do którego już ukołysać cichą, łagodną piosenką nie było można.

Pogrzeb Arcybiskupa Fijałkowskiego, na którym wystąpiły godła połączonych narodów, uczta wieśniacza w hotelu Europejskim, pożegnanie przybyłych na kolei, i przejazd ich z chorągwiami przez Warszawę, były ostatecznym terminem. Zabrano się na równie gwałtowne prześladowanie, jak

dziwną była łagodność, obskoczono kościoły w dzień Kościuszkowskiej rocznicy, padło mnóstwo ofiar, ale obok nich Gerstenzweig i Lambert. Ta noc w Katedrze świętego Jana należy do najwspanialszych obrazów epoki; było to coś jakby z czasów Tatarskich najazdów odnowionego, gwałt w cywilizowanej Europie niesłychany. Pijane żołdactwo urągające się świątyniom, napastujące niewiasty, te godziny oczekiwania na śmierć spędzone przy katafalku, w kościele, nie są do opisanie. Uroczyste zamknięcie wszystkich kościołów, które potem nastąpiło, dźwignęło znowu ducha na wyżyny. Środek, który miał powstrzymać, rozrzążył.....

Moskale już powinni byli przekonać się, że temi pospolitemi sposoby małenkiemi wcale sobie nie poradzą, ale ich władze umysłowe na nie innego zdobyć się nie mogły. Wracali jak owe biblijne stworzenie do dawnych błędów, krążąc w tym kole błędnym, z którego wyjść nie umieli, jedynym ich środkiem guwernamentalnym zawsze był bagnet.

Gdy z ich strony słabość jest oczywistą, sprawa narodowa zyskuje codziennie, umacnia się, rozpętnia, odrzuca wszelką zgodę z nieprzyjacielem.

Właśnie w chwili gdy po tych wypadkach, po prześladowaniach, po ucisku nowym, rząd rosyjski decyduje się na ostatnią jeszcze próbę i wysyła nam Telemaka wielkich nadziei z Mentorem wielkiego rozumu, rozpoczynamy drugi obrazek naszej powieści.

Chcieliśmy choć pobieżnie skreślić tu treść wypadków, do których w następnych opowiadaniach nie raz nam jeszcze wrócić przyjdzie.

Bohaterka nasza nie była przez ten czas bezczynną, wmieszana we wszystkie prace, wtajemniczona w kierunek sprawy, poświęciła się jej, z tém zaparciem i całkowitą ofiarą siebie, do jakiej tylko kobiety są zdolne. W chwili gdy wielki książę Konstanty wjeżdżał przez Pragę, witany przez niewiedzieć jak uzbieraną gawiedź uliczną, u panny Jadwigi zebrało się kilka osób zwykłego jej towarzystwa.

Przez czas upłyniony Jadwiga dotrzymywała uczynionego przyrzeczenia, pomimo zakłęb bojaźliwej ciotki, która nie rada była, widząc ją występującą z tych dróg powszednich, jakimi zwykły iść miljonowe panny do świetnego małżeństwa; siostrzenica nie zmieniła postanowienia. — Ślub, który uczyniła, w jej myśli wiązał ją tak silnie jak gdyby go złożyła Bogu przed ołtarzem zostając zakonnicą. Mówiła z uśmiechem, że należy do zakonu polek, wprowadzie nieuznanego przez stolicę Apostolską, nie zamkniętego w mury klasztorne, ale rozprzestrzenionego po całym obszarze tej rozdartej ziemi, w której każda cząstka dąga do dawnego zjednoczenia. Minuo wielkiego zapалу, a może skutkiem potęgi uczucia, Jadwiga surowo obmyśliła swe postępowanie. Kiedy trwożliwa ciocia na klęczkach ją prawie wstrzy-



mywała od śmielszego jakiego kroku odpowiadała jej z pogodą na czole:

— Moja droga matko, nie obawiaj się, miłość ojczyzny tak jak ja ją czuję i pojmuję, jest najlepszą tarczą przeciw wszystkim świata niebezpieczeństwom, ona zmusza do starania się o wszystkie cnoty, do wyrzeczenia się wszelkiej płochości, bo najmniejsza planka na szacie obrońcy kraju odbije się i na grobowym całunie matki i na tryumfalnej szacie zmartwychwstania. Cóżesmy winni, że musimy w ciszy, mroku, jak pierwsi chrześcijanie w katakumbach pracować na odrodzenie ojczyzny? I tych pierwszych chrześcijan i naszą sprawę w tajemnicę spowita, będą spotwarzać i ohydzać, ale kto się poświęca dla ojczyzny i wstępuje na próg poświęceń, ten szatę grzesznika zrzucić musi na progu!! Prawda, kochana ciociu, że nasz zakon potępia wiele rzeczy, którym świat pobbąza lub poklaskuje, ale świat to staruszek niedołęga, któremu byle cicho, ciepło było i spokojnie, gotów czarne białem nazywać.

Tak mówiła Jadwiga i tak postępowała.

Spokój trzydziestoletni i straszny ucisk moralny odbiły się były i w społeczeństwie. Mięksi, ulegając przemocy, powoli zbliżali się do moskali,

wstydlwi się pozwalali się domyślać w sobie Walenrodów, pomiędzy narodem i wiernymi jego dziećmi a prześladowcami, i temi których pociągnąć ku sobie potrafili: zawiązały się były stosunki tak, że łańcuch nieprzerwany rozmaitych odcieni łączył najzjadliwszych prześladowców z najgorętszymi ich nieprzyjaciolami.

Spotykano się w neutralnych salonach, mówiono o rzeczach obojętnych, znano się, bywano u siebie i tolerowano się wzajemnie. Opinia publiczna uciskiem i przymusem tłumaczyła pewne słabości, najpodlejsi zaprzedańcy w pewnych kołach towarzyskich okupywali zdradę jakąś koszlawą niby miłością ojczyzny.

Nagle od owego zjazdu Monarchów w Warszawie, który dał znak przebudzenia, potrzeba było wszystkim wybierać i być z krajem lub przeciw krajowi. Zdumieni się wielce ci, którzy przez dwadzieścia kilka lat bezkarnie jeździli na bale do zanku, gdy do ich karet wpadły potępiające kamienie! Od téj chwili chociaż wiele pozostało salonów bezbarwnych i ludzi dwukolorowych, coraz silniej zarysowywały się stroniectwa i przekonania. Nie chcielibyśmy widzieć ich tu więcej nad dwa, to jest zdrajców i wiernych dzieci, może i nie było ich więcej, ale

w pośrodku stały tłumy pogan, jak ich nazywała panna Jadwiga, które nawracać było potrzeba. A pogaństwa te były wszelakiego rodzaju, w piersi bałwochwalców było wierne dla ojczyzny uczucie, ale z nim wależyły to miłość złota to przywiązanie do jakiejś takiej władzy, to obawa rewolucji, to bojaźliwość i płochość.

Salon Jadwigi i przez stosunki jej familijne, i jako miljonowej dziedziczki, był naturalnie otwartym dla mnóstwa osób, które nie będąc ani czerwone ani białe, chodziły popielato. Jadwiga tych szarych i zimnych podjęła się nawracać, uczyniła sobie z tego zadanie. Nie unikała więc ani tych domów, w których na cały ruch dzisiejszy po cichu sarkano, ani zamykała drzwi swych tym co obojętnością grzeszyli. Pocziwe jej serce, z prawdziwie wzniósłm chrześcijańskiem uczuciem, wierzyło w nawrócenie wszystkich aż do kata który wieszał i sędziogo co wyroki podpisywał:

— Jest to tylko rzeczą czasu, mówiła, wszakże od małego płomyka rozszerza się ogień wielki, suchsze gałęzie płoną naprzód, gdy wilgotne schną jeszcze, naostatek i ci ludzie znukli i ośliżli co dziś tylko syczą, zapalić się muszą. Z tą głęboką wiarą szła niezachwiana swoją drogą, choć często w jej salonie najsprzeczniejsze spotykały się ży-

wioły. Z taktem niewieściom umiała prowadzić to dzieło nawrócenia nie obrażając nikogo. Hamowano ją czasem, szepecząc jej, że ci których nawrócenie przedsiębrała, byli wprost przeciwnych opinii...

— Więc tém lepiej, odpowiadała, właśnie dla tego pracować potrzeba, aby ich nawrócić, Gdybyśmy patrzali na opinie przeciwnie z zimną rezygnacją, albo byśmy przeczyli wszelkiej możliwości nawrócenia, albo byśmy się przyznawali do słabości naszych przekonań. Potrzeba unieść wyznawać wiarę swoją publicznie, aby na nią nawracać.

Dnia tego towarzystwo było dosyć liczne i jak zwykle w czasie herbaty, która się ciągnęła od siódmej do jedenastej, jedni wchodzili, drudzy wychodzili i powracali przynosząc jakąś nowinkę lub zdając sprawę z poleceń.

Jadwiga, z większą częścią Warszawy, przekonana była, że stolica w czasie wjazdu W. Księcia zachowa się z godnością, że nie da mu fałszywego wyobrażenia o stanie umysłów naciskiem tłumu, i nieczem, co by za niewczesny entuzjazm mogło być wzięte. Ażeby nie oszukiwać przybywającego i nie ludzić go tém że sam jego przyjazd nas uszczęśliwił, potrzeba było przyjmować



go bez oznak niechęci ale i bez radości. Wielkie było zdziwienie wszystkich, gdy się dowiedziano, że tajemniczą jakąś siłą nagromadzone pospólstwo na Pradze, przyjęło księcia wielkimi okrzykami, że jakieś nieznane, z pod ziemi wyszłe postacie, czepiały się powozów, goniły je wołając h u r a! Wszystko to tak było nie polskie, tak widocznie podrobione, tak uwłaczające całemu narodowi, że każdy poczuł się tém obrażony. Margrabia który wiadomemi sobie środkami przygotował tę owację, zmusił niejako do energicznój przeciwko niej protestacji, był to krok fałszywy i ciężkie za sobą pociągał następstwa.

Salon panny Jadwigi pełen różnych ludzi, podzielony był w zdaniach co do przyszłego zachowania się względem Mentora i Telemaka. Wszyscy paniczycy i to co należało do tak zwanego dobrego towarzystwa, mocno obstawało przy pojednaniu z moskalami, którzy widocznie przypominali się, szło tylko o to gdzie ich pocałować. Wyjawszy margrabiego, do którego wstręt instynktowy był powszechny, urzędnicy nowi których przywoził Wielki Książę, obudzali nadzieję, a przynajmniej nie byli zniechęceni; ztąd ludzie porządku, to jest ci co się brzydzili rewolucją, zna-



lazīszy nową kombinacjé moŹliwà czepiali sié jéj gwałtownie.

Hr. Albert, Edward, Micio, Dunio i kilku innych. przedstawiali miéędzy młodziézà ów żywiół pragnący ciszy i spokoju na ojcowskiem łonie Margrabiego. Karol, towarzysz jego Młot, znany nam z pierwszój powieści, i ich przyjaciele, śmieli sié otwarcié z tych nadziei, przepowiadając ich upadek.

Jadwiga, naleŹąc sercem do ostatnich, nie chciała zrywać z pierwszemi, zawsze w nadziei nawrócenia.

— Co do mnie, odpowiedziała na zapytanie Karola, myślę śmiało wejść, nawet na pokoje Margrabiego, jak chrześcĳanie wchodzili na dwór Nerona aby tam robić prozelitów. W wielkim tłumie który go otoczy, przyznasz pan, Źe mam prawo spodziewać sié znaleźć najwiécej ludzi słabych. JuŹ to samo Źe w tę nową kombinacjé wierzyć mogà, dowodzi ich słabości; a zatém półów mi sié udać moŹe. Margrabia, któremu ludzie pragnący spokoju robià olbrzymią sławę męŹa stanu, juŹ miał czas przekonać nas Źe nim nie jest. Wszystkie jego wystąpienia obrachowane na wielki efekt, były chybione i celu nie dościgły. Jest to Don Kiszot siły, który sié o to tylko

troszczy, aby mu przyznano tak szeroką energję jak szerokie ma barki...

— Nie godzi się tak mówić, przerwał Albert, który się zbliżył do rozmawiających. bądź co bądź Margrabia jest ostatnią próbą, którą moskale czynią, ze wstrętem używając go za pośrednika do pojednania; jeśli on upadnie, przyjdzie po nim obnażony knut moskiewski w rękę kozaka...

— Tém lepićj, odparła żywo Jadwiga, wygramy na tém jeśli zrzucą maskę. nadewszystko zyskamy moralnie. Margrabia z niemi, to despotyzm ubrany w formy legalne, które opinję Europy bałamucą. Ogłaszają nas za niepoprawny naród rewolucjonistów, niewiedzący czego pragnie, niezaspokojony niczém, a moskali za obrońców porządku prawego i spokoju Europy. Zmusić ich do zrzucenia tego przybranego stroju, do obnażenia ich téj tatarskiej skóry, z której się weale nie wyzuli, jest czystym zyskiem dla naszej sprawy. Margrabia jest parawanem zasłaniającym prawdę. Święta sprawa nasza musi pragnąć jasności.

— Ale, dodał Albert, bądźmy loiczni, to zawsze w końcu rewolucja...

— Jeżeli nas do tego zmuszą, rzekła Jadwiga, a może tylko walka i pasowanie się heroiczne sił ducha z siłą pięści...

— Że my sami przyjdziemy do rewolucji, dodał Albert, to nie ulega wątpliwości. Jesteśmy na pochyłości która do niej prowadzi... nie wiem czy już powstrzymać się potrafimy.

— Ja temu nie zaprzeczam, rzekł Karol.

— Ani ja, dorzuciła Jadwiga, smutną jest rzeczą każde takie gwałtowne wstrząśnienie społeczne ale nieuchronną. Kto nie chce rewolucji, ten przyjąć musi i rozpadniętą naszą ojczyznę taką jaką jest, i panowanie rosyjskie na wieki wieków.

— Przepraszam panią, przerwał Albert, ja nie przyjmuję ale przypuszczam rewolucję, tylko nie dziś.

— Więc to dla pana kwestja czasu? rzekł Karol, i ja nie powiadam żeby chwila bardzo jej sprzyjała, ale sądziszże pan, iż jutro, za rok, w dziesięć lat, znajdziemy sposobniejszą? Rosja nauczona dzisiejszym ruchem, odejmie nam do niej wszystkie środki, złamie ducha, zmiękczy serca, zniewieści przyszłe pokolenie...

Albert zamknął. A Jadwiga z uśmiechem dodała:

— Nie bójmy się, męczeństwo ma swe rozkosze, a lepiej umrzeć męczennikiem niż spodłonym. Dać się pochłonać tej tłuszczy barbarzyńców, jest to świętokradzko się zaprzecć całej prze-

szłości, całego trudu wieków, tysiąca lat pracy przodków, jest to cofnąć się w tył i wyrzucić siebie.

— Jeszcze słowo, rzekł Albert, garstka Greków wpłynęła przeważnie na cywilizację milionów Rzymian, czemużbyśmy my nie mieli spolonizować Rosji?

— Mój hrabio, odparła Jadwiga, ta garstka Greków była jak kropla drogiego nektaru wlaana w wielkie wody naczynie, na chwilę woda jej woń przyjęła, ale kropla znikła i rozplynęła się na wieki... chciałżebyś dla nas tego losu??

Młot który niespokojnie przysłuchiwał się rozmowie, tak wyraziste rzucił spojrzenie na pannę Jadwigę, że ta w końcu zrozumiała iż o coś mu pilniejszego idzie, niż o powolną sprawę nawracania.

Zostawując więc hr. Alberta z Karolem na dalszej rozmowie, wysliznęła się sama i zręcznie bardzo kołując, podeszła do młodego chłopaka czekającego na nią z widoczną niecierpliwością.

— Czy macie mi co do polecenia? zapytała po cichu.

— Nie do polecenia, ale prośbę o radę, idzie tu o Karola...

Panna Jadwiga troszkę się zarumieniła, ale Młot tego nie postrzegł.

— Przywykliśmy, rzekł żartobliwie, uważać panię za naszego towarzysza i współnika pracy, powiem więc pani szczerze że jestem przestraszony, choć się lękać nie zwykłem. Karol jest nam tak potrzebny, że wolelibyśmy stracić dziesięciu wybranych, niż jego jednego, nikt go zastąpić nie potrafi: jest to zarazem całowiek żelazny a najłagodniejszy z nas gdy mamy do czynienia z profanami, rozcina jak stal wyostrzona bez bólu, nie poczujesz jak ci serce rozplata. Takich nam ludzi potrzeba a niestety możemy go stracić.

— Jakto? zakrzyknęła Jadwiga. Cóż mu zagraża? jest tak ostrożnym!

— Nie tyle on jest ostrożnym jak my jego pilnujemy, ale złożyły się dziwne okoliczności. W początkach sprawy nie widzieliśmy tak jasno, nie rozróżnialiśmy przyjaciół od nieprzyjaciół, mówiło się o ludziach z różnemi, którzy się zdawali w sercu mieć jakieś dla ojczyzny uczucie: tym czasem kilku z nich przeszło do obozu nieprzyjacielskiego. Wiemy z pewnością, że jeden z tych ludzi podał Margrabiemu listę osób które, najwięcej wpływu mieć mogą. Starano się ich pozyskać, niektórzy ulegli. Karola uznano nie zwalczonym, wiem z pewnością, że w tych dniach pod najłżejszym jakimś pozorem wsadzą go do cytadeli.



— Cicho! cicho! zawołała strwożona Jadwiga biorąc Młota za rękę, potrzeba mu dać pieniędzy i ułatwić ucieczkę.

— Przepraszam panię, za granicą, rzekł Młot, może być użytecznym ale nikt go nie zastąpi w Warszawie, potrzeba się namyślić gdzie i jak go ukryć. Nasze schronienia nie są zbyt pewne, proszę panią o radę i o pomoc.

— Słuchaj pan, odezwiała się Jadwiga po chwili namysłu; mam myśl. Potrzeba zdobyć jednego z tych paniczów szturmem oczów, przymileń, uśmiechów i zmusić go, żeby ukrył Karola. Ci panowie wszyscy wiernie uczęszczają na salony Margrabiego, nikt ich nie posądzi, Karol będzie bezpieczny.

— Ale, na miłość Boga, kto za opiekuna zaręczy?

— Ale ja, ja! szepnęła Jadwiga: Ja!

— Pozwól pani wyznać, że to projekt zbyt śmiały, nie godzę się na to.

— Więc cóż począć? zawahałszy się trochę, rzekła kobieta, ale wkrótce z nową siłą wróciła do swojej myśli. Daj mi pan kwadrans, rzekła, przytrzymaj tu Karola; hr. Albert, nie zaprzeczysz, jest uczciwym człowiekiem, ma tę wadę że jest zbytecznie hrabią i nadto ekonomistą, idę z nim

do drugiego pokoju i przyprowadzę go wam gotowego na wszystko. Musi być pewnie jakimś kuzynem Margrabiego, hrabiowie i margrabiowie wszysej są krewnemi, u niego Karola szukać nie będą: tymczasem ja pojedę do Brühlowskiego pałacu i wymogę tam, żeby Karola nie tknięto.

— Jakto? pani? spytał Młot niedowierzająco.

— Czy mi pan wierzysz?

— Więcej niż sobie.

— Teraz drugie pytanie: czy pan we mnie wierzysz?

— Jeszcze nie widziałem żebyś pani robiła cuda, ale gdy zechcesz! któż wie?

— Wiesz pan przynajmniej że nie zdradzę, i sprawy której się podejmę nie zepsuję; pozwalasz mi spróbować z hr. Albertem?

— Sądzę, że należałoby się spytać Karola, ale potrzeba by mu wszystko powiedzieć...

— Zdaje mi się, iż mówiąc z nim otwarcie, nie zastraszysz go pan.

W téj chwili ujrzała Jadwigę, że Albert brał za kapelusz i powstrzymała go od wyjścia jedném słowem.

— Zostań pan, potrzebuję z nim pomówić.

Tymczasem Młot wziął na stronę przyjaciela, i żywą zaczął z nim rozmowę. Karol odskoczył

od niego i pobiegł do Jadwigi. Na twarzy młodego człowieka malował się najżywszy niepokój.

— Na Boga zakliwam panię, rzekł z największym zapalem, proszę zapomnieć o tém co Młot jęj powierzył; nie ma żadnego niebezpieczeństwa, mam dwadzieścia najdoskonalszych kryjówek w razie potrzeby, od kilku miesięcy nigdy nie nocuję w domu, jestem spokojny i błagam pani, abyś mnie pod hrabiego opiekę nie oddawała. Byłby to także rodzaj aresztu w którym bym się nauczył może ekonomij politycznej, ale bym z nudów umarł. Nie chcę i nie mogę.

W pięknych oczach Jadwigi błysnęła łza, która się gdzieś roztopiła pod powiekami.

— Napróżno byś mię pan uspokajał, ja być o pana spokojną nie mogę, jesteś zbyt zuchwały. Zlituj się pan, myśl o sobie, lub dozwól żeby twoi przyjaciele o tobie pomyśleli.

Tu się widocznie zmieszała, głos się jęj zmienił i wyrazów zabrakło, Karol postrzegł wzruszenie, nie była to pierwsza oznaka uczucia z jęj strony, ale zaenry chłopak, stępując na próg tego domu, przewidział niebezpieczeństwo i poprzysiągł że mu nie ulegnie. Nadto był dumny ażeby sięgnął po serce kobiety w tak drogie, złote ramy oprawne, wiedział że Jadwiga żoną jego być nie

może, zabronił więc sobie ją kochać. To postanowienie ze szlachetnej pochodzącej dumy, nie obwarowało go od śmiertelnego rozkochania się w Jadwidze, ale miłość tę zagrzebał w sercu jak w grobie i równie troskliwie ją ukrywał jak inni się z nią popisywali. Lękając się aby mimowolnie się z nią nie wydać, Karol starał się być nie tylko zimnym, był często szorstkim i odstręczającym. Wchodził zwykle do salonu najeżony postanowieniami najuroczystsze zachowania się zimnego i ostrego, ale wkrótce wpływ Jadwigi miękczył je, rozjaśniał mu czoło, otwierał usta i zmuszał do zapomnienia o sobie. Często w ciągu rozmowy, ulegając dwóm przeciwnym uczuciom, przechodził nagle do dziwacznie wydających się oziębłości. Na ówczas oczy Jadwigi wlepione weń z podziwieniem zawstydzaly go i wprawiały w równie nie wytłumaczoną wesołość. Ta pocziwa niezgrabność człowieka, który nie umiał grać komedji, nie mogła ujść oka kobiety. Jadwiga, domyślała się więc więcej niż wiedziała.

Tą razą Karol uznał za przyzwoite być prawie dla Jadwigi niegrzecznym, na jej błagające wyrazy odpowiedział żywo i szorstko:

— Ale niechże się też pani nuna nie opiekuje, błagam i proszę! Co dziś znaczy człowiek

jeden w obec ogółu, czy to o mnie myśleć należy kiedy nas wszystkich do ofiary powołuje ojczyzna? Przyznam się, że mi nawet przykro, iż się tak obwarowałem od wypadku, który tysiące godniejszych co chwila spotkać może. Proszę pani ani słowa o tem.

Jadwiga zarumieniła się, ale przywykła do podobnych dziwactw, odpowiedziała prawie z pokorą: podając mu rękę:

— Daruj - że mi pan i pozwól przyjaźni być tak gorącą jak powinna.

Karol z kolei zawstydził się swego znalezienia i jemu lzy stanęły w oczach, ale nim miał czas przemówić, podszedł służący do Jadwigi z miną tajemniczą i szepnął jej, że jakiś żołnierz czeka na nią w sieni.

Pod rządem moskiewskim dość jest munduru ażeby ludzi przestraszyć: ci obrońcy ojczyzny groźniejsi są pewnie we własnem kraju jak w obec nieprzyjaciela.

Samo wspomnienie żołnierza w chwili gdy jej o niebezpieczeństwie Karola znać dano, przerażało, nie mogła tylko pojąć dla czego ten żołnierz z nią się chciał widzieć?

Wybiegła żywo i znalazła w sieni wychudzonego człowieka, ubranego w szary płaszcz żoł-



nierski z chorobą wypiętnowaną na twarzy. Ukłonił się jęj kilka razy, a Jadwiga jeszcze tego zrozumieć nie mogła, dopiero gdy się odezwał, poznała go po głosie.

Był to Tomaszek dawny parobczak dworski wzięty do wojska z ostatnią branką, o którym od tej pory słychać nie było.

Straszny to ten podatek krwi gdy dzieci wydiera matkom, mężów żonom, ojców dzieciom, ale gdy go niepojmujący świętego obowiązku prosty człowiek, płaci własnej ziemi, na choć tę pociechę, że ją piersiami zasłoni. Cóż gdy najęzdzca dziesiątkuje ludność ażeby kraj wycieńczył, gdy każdy przezeń porwany wie, że idzie na stracenie, że do swoich nie powróci lub przyjdzie o kuli starcem gdy ich mogiły darnem porosną! Cóż się to w duszy tych ludzi dzieć musi gdy im ogłaszają ten wyrok tak straszny jak ów: Idźcie potępieni na ogień wieczny! Iluż to oszaleć, ilu z tęsknicy umierać musi, a ilu uschnąć z rozpaczey! Ze wspomnieniem téj opuszczonej chatki rodzinnej, w usługach nienawistnych ludzi, o głodzie i nędzy, cóż to za dola wygnańców!

I biedny Tomaszek należał do tych męczenników moskiewskiej tyranji, i on tam wyżółkł i wybladł gdzieś za Wołgą, tęskniąc do Mazowsza.

Przerzucany z lazaretu do lazaretu, z pułku do pułku, dostał się wreszcie do tego który trzymał załogę w Warszawie. Na raz wszystko co w duszy pleśnią poczęło porastać odżyło w nim gwałtownie. Milezący, osłupiały, wszedł na tę ziemię, na której się urodził, której woń, barwy, dźwięki, wszystko mu jego młodość przypominało. Z na w pół nałamanego już do żołnierskiego życia człowieka-machiny znówu powstał pocziwy Mazur zatęskniony i szczęśliwy. Nie nie rozumiał co się w koło niego działo, ale po tych cerkwiach dzikieni kołory pobazgranych, po tych indyjskich pogodach, szare kościółki wydały mu się zachwycające, płakał pod wszystkimi krzyżami, które spotykał po drodze, każde ciemne oblicze Matki Boskiej Częstochowskiej przypominało mu chatę, w której podobny wisiał obrazek. I na jego piersiach, jeszcze przez rodziną zawieszony w kolebce, taki sam drgał wizerunek. Aby się nie zdradzić milezał biedny wśród towarzyszków moskali, ale gdy go nie widzieli witał się ze swoją ziemią, całując ją i garściami przykładając do rozbolełego serca. Tomaszek może skutkiem choroby i wycieńczenia był roztkliwiony nadzwyczajnie, przypominał sobie i dwór pański, na którym mu tak było dobrze, i panienkę ma-

leńką, która im podwieczorki sprawiała. Istnym trafem dowiedział się, że panienka z Ciotką mieszkają w Warszawie, i skorzystał z pierwszego pozwolenia do wyjścia, aby się im przypomnieć.

— A! panienka mnie nie poznała, rzekł złamanym językiem, ale bo to prawda, dużo lat jak mnie moskałem zrobili! a to ja Tomaszek Czupryna, proszę panienki co był parobczakiem we dworze w Zalesiu....

— Cóż ty tu robisz? z podziwieniem zawołała Jadwiga.

— A cóż? proszę panienki, żołdat to gdzie go popelną tam idzie, człowiek swojej woli nie ma, każą jeść, to je, spać to śpi, a strzelać to strzela. Kazali mnie z pułkiem do Warszawy, do cytadeli, to się i przywlokło.

— Dawno? .

— Eh! już kilka tygodni, ale ja i nie wiedział, że panienka tu są, i nie bardzo nas wypuszczają, bo to służba, to także niewola.

Nie wiedząc co z nim począć, Jadwiga dziwnie jakoś wzruszona widokiem wynędzniałego człowieka, wprowadziła go za sobą do salonu ażeby przypomnieć Ciotce.

Znalazła ją też już we drzwiach mimo ociężałości idącą się dowiedzieć jaki tam żołnierz ją

wywołał. Ciotka lepićj sobie daleko Tomaszka przypomniła, matkę jego komornicę biedną która przędła we dworze, stryja, który jakiś czas był karbowym. Tomaszek, aż się upłakał słysząc o swoich, Jadwiga przyniosła mu szklankę herbaty, a całe towarzystwo obstępilo żołnierza, słuchając wymownych westchnień i nieforemnych wyrażień. Parobczak, który się niespodziewał takiego przyjęcia był serdeczny i witał swoich jak utraconą rodzinę. Jadwidze zaraz błysnęła myśl ażeby go nawrócić i użyć za narzędzie nawracania. Była więc dlań uadzwyczaj troskliwą, rozpytywała go o zdrowie, przypomniła mu jak to ich leczono we dworze, i poleciła mocno ażeby często do nich przychodził.

— Żeby to ja mógł, odpowiedział Tomaszek, ale to, proszę panienki, choć my tam drugich więźniów pilnujemy, ale my to sami gdyby niewolnicy; wyjść za cytadelę, broń Boże nie wolno, chyba za pozwoleniem i karteczką komendanta, a jeszcze że się dowąchali, że ja Polak, to na mnie ślępia wywarli gdyby na zdrajcę i tu z polakami nie wolno w żadne się wdawać przyjaźnie, przykazano być ostro, a nawet panów oficerów pilnować żeby oni w jakie konszakty nie wchodzili. Jak raz w tydzień dopuszczają człowie-

kowi wyleżeć na miasto to jeszcze wielkie szczęście!

— Więc też choć raz w tydzień przyjsć do nas możesz. rzekła Jadwiga, przynajmniejbys się tu u nas lepiej pożywil.

— A! proszę panienki, rzekl wzdychając żołnierz, żebyście to wy wiedzieli jedząc białe bułki czem my nieraz biedni żyjemy! Chleb stęchły i spleśniały z gorzkiej mąki upieczony, trochę cieplej wody, po której krupy pływają, czasem suchar twardy, czasem kartofel surowy, a człek żyje bo musi; jak go ściśnie głód, wódka karmi—jak nie ma wody, wódka poi—jak chory to się wódeczyskiem leczy—jak mu serec pęka, to nią pamięć zaleje.

Westchnął, a słuchającym łzy w oczach stanęły; wszyscy sięgnęli do kieszeni aby mu się złożyć na jaki mały datek, ale Jadwiga uprosiła żeby to jej zostawiono.

Obraz tego dziecięcia naszej wioski, tak nienie przerobionego na zbolalą i nędzną istotę, przemawiał do sere może silniej nad inne uciski moskiewskie. Placze się nad trupem, ale rozpacza nad żywym, którego z istoty niewinnej przerobiono na narzędzie i posługacza bez woli.

\* Z takim uczuciem patrzyliśmy nie raz na te



biedne dzieci nasze, zakute w mundurki rosyjskich kadetów, strute oddechem zepsucia, wyczone jak papugi katechizmu przeciw własnemu Bogu . . . .

Tomaszek tak się rozgadał, że mu się jakoś odchodzić nie chciało. Lzy mu płynęły z oczów i chwilami szalał gdy sobie jasne lata swobody przypominał, rozezulony w końcu odszedł, całując po rękach panienkę i ciotkę, kłaniając się wszystkim i przyrzekając, że powróci. . . .

Towarzystwo całe powoli rozchodzić się zaczęło z tem uczuciem politowania, które wzbudza każda niedola nieporatowana.

Edward jeden wyszedł, namyślając się mocno czy czasem przytomność jego w salonie, w którym widocznie balamuciono rosyjskiego żołnierza nie kompromitowała go?

Od czasu przybycia Margrabiego był on jeszcze mocniej orthodoxus jak kiedykolwiek. Salon panny Jadwigi wydawał mu się coraz gorszym napełniony towarzystwem i gdyby nie jej miliony i nie owa rana, którą w obronie jej honoru otrzymał, dająca mu już pewne prawa, byłby się całkiem wycofał. Jadwiga obchodziła się z nim grzecznie, ale traktowała go z góry i trochę jak studenta. Miłość własna, która w po-

trzeba umie sobie wszystko tłumaczyć na swą stronę, malowała panu Edwardowi jego stanowisko w tym domu barwami najświetniejszemi. — Trzeba było jego próżności i zarozumiałości, a po części głupoty, ażeby się tak obalamucić. Tego jednak wieczora pan Edward wyszedł smutny i przerażony, zaczął domyślać się, że w przekonaniach i opiniach nigdy się nie pogodzi z panną Jadwigą, dojrzał nareszcie, że bardzo jakoś poufale była z Karolem, a Karola instynktowo niecierpiał. Dwaj ci ludzie nie mogli się nigdy z sobą pogodzić bo stali na wzręcz przeciwnych krańcach.

Edward stworzony był do ślepego posłuszeństwa, które go uwalniało od myślenia, Karol do samoistnej pracy. Edward urodził się na porządnego urzędnika dorabiającego się emerytury i względów swoich naczelników, Karol na republikanina.

Ostatni miał Edwarda, z pozwoleniem, za cielę, Edward patrzył nań jak na straszliwie czerwonego.... demagoga.

Z Margrabią razem przybyło do Warszawy rozpuszczone przez niego, jako niby znającego kraj, straszliwe widmo c z e r w o n o ś c i; tłumacząc siebie, nie chcąc przyznać, że miał walczyć

z krajem. Margrabia przedstawiał się jako obrońca porządku społecznego. Wszyscy, których z sobą wiozł z Petersburga, napojeni byli zawczasu tem przekonaniem, że cały ruch polski był to przebrany w kontusz i żupan, socjalizm, komunizm, rewolucja i t. p. Ten pewnik, tak był ugruntowany w głowach dworu margrabiowskiego, że ledwie późniejsze wypadki, zdrowszych i mniej uprzedzonych, nawrócić potrafiły. Wyraz czerwony oznaczał na ówczes wszystkich gorętszych, a w ustach Brühlowskich seidów był potępieniem bezwarunkowém. Wszystko co się zbliżało do Margrabiego, musiało, wtorując mu, wierzyć, że w Polsce nie szło o Polskę ale o jakąś sprawę powszechną rewolucji Europejskiej. Czy autor téj bajeczki puszczonej zręcznie, a raczej tego baka, sam w nią wierzył—tego nie wiemy, ale do samego ostatka usiłował wszystkich przekonać, że walczył z hydrą rewolucji socjalnej. Mówią, że pan Oliphant zręcznie odpowiedział na ten zarzut uczyniony Polsce.... Bardzo być może, że to jest socjalizm, rzekł; wszędzie gdzie jest zły rząd, rodzić się on musi—my się go w Anglii nie obawiamy.

Edward niepokojony tem, że się otarł o czerwonych, podejrzewając i pannę Jadwigę o ja-

skrawość, powrócił nie kontent z siebie do Europejskiego hotelu, w którego progu zetknął się z kilku znakomitościami brühlowskićj oficyny. Niezmieranie był szczęśliwy gdy to grono ludzi porządku pociągnęło go z sobą na kolację. Pośród nich jakoś wolniej oddychał, czuł się bezpieczniejszym, smakował bardzo w doktrynach i dowcipach Cześnikiewicza i miał go za znakomitę genjusza, a co śmieszniej, za dobrego Polaka. Z radością więc poszedł na górę z Wielopolszczykami aby się obmyć z wrażeń, które wyniósł od panuy Jadwigi, z salonu jej wychodził zawsze przelękły i drżący, marząc o cytadeli: wśród tych panów doznawał błogiego uczucia spokoju. Nie potrzebujemy mówić, że ich przekonania całém sercem podzielał.

Tego wieczora obudzony nieco szampanem entuzjazm margrabiąt, dochodził do najwyższego stopnia.

Jeden z przytomnych powstał i, zapewniwszy się, że wszystkie drzwi od podsłuchów są obwarowane, miał speech następujący.

— Panowie, rzekł, prawi Polacy, i ludzie którym drogi jest porządek społeczny, winni się wziąć za ręce i pójść wszyscy pod sztandar margrabiiego! Jeżeli on nie zbawi Polski, Polska

zginęła! Nie powinniśmy cofnąć się przed najcięższymi obowiązkami obywatelskimi; gdyby potrzeba, gotów jestem wydać rodzzonego brata. Każdy z nas uczynić powinien podobnie!!

Nie piszemy tego z domysłu, słyszeliśmy na własne uszy, utrzymywaną teorię podobną: byli ludzie którzy to czynili z baranią dobrą wiarą.

Edward tak się uczył przejętym, uniesionym, i szczęśliwym z dopuszczenia do towarzystwa znakomitych mężów, że wypił jeden po drugim cztery kieliszki szampańskiego i dał słowo honoru, iż inaczej jak w cylindrze (symbolu poszanowania prawej władzy i porządku społecznego), nigdy się na ulicy nie pokaże.

Głupie chłopię opanował jeszcze większy szal, gdy po wieczerzy znakomita (wzrostem) figura wzięła go pod rękę, odprowadziła do kątku i zaczęła poufałą rozmowę. Edward, który oddawna pragnął się zbliżyć do tych gwiazd nowego nieba, gotów był (jak pani Sévigné po owym menuecie) wykrzyknąć, że margrabia jest wielkim mężem!

Rozmowa widocznie przeprowadzona bardzo zręcznie przez słusznego mężczyznę, zaczynała zakrawać na inkwizycję i badanie.

Edward był w takióm usposobieniu, że dalby był z siebie ciągnąć wnętrzności jak Św. Bartłomiej.



— Powiedz mi pan, rzekł powoli towarzysz, pan podobno bywasz i poufale jesteś przyjmowany w salonie panny Jadwigi? Ma to być zbiegowisko czerwonych?

— W istocie, rzekł Edward, różni tam ludzie przychodzą, towarzystwo bardzo zmieszane...

— Spotkałeś tam pan kiedy niejakiego Karola Glinńskiego?

— Spotykam go tam każdą razą!

— Mówią że ma to być bardzo niebezpieczny człowiek?

Edward łatwo mógł zrozumieć, że mówiąc z tak znaczącą figurą, mającą w ręku władzę, i naówczas prawie wszechmogącą, przyczyniał się do potępienia, do wyroku na człowieka już złe u rządu widzianego; w innym razie może byłby zamknął usta lub wstrzymał się z objaśnieniami, ale był rozochocony winem, poruszony mową i grzecznością tego pana z którym mówił. Chcąc mu się wypłacić szczerością, zapomniał się zupełnie. Przypadek nienawiści dla Karola rozbudziła się w jego sercu, zaczął więc szeptać z zapalem.

— Rzecz niezawodna że to jest bardzo niebezpieczny człowiek! Jestem pewny, że albo stoi na czele jakiegoś spisku albo do niego należy, ciągle jakieś konszachty, bieganiny, narady, se-

kreta, nieustanne posłańce... O wszystkiém w mieście najlepiej uwiadomiony, jak gdyby miał swoją policję. O! to jest bardzo niebezpieczny człowiek.

— Ale jak pan sądzisz, gdyby go schwycono, czyby się co tam przy nim znalazło?

Edward dopiero się pomiarkował jak daleko zaszedł i że się stał denuncjatorem, zimno mu się jakoś zrobiło, ale cofnąć się nie było podobna.

— Tego to nie wiem, rzekł ciszej, bo żadnych z nim bliższych nie mam stosunków, widuję się tylko u panny Jadwigi.

Słuszny mężczyzna spojrział na tę żabę z góry, uśmiechnął się i dodał poufale:

— Trzeba go zamknąć, jak odsiedzi rekolekcje może ochłodnie, i dodał na ucho Edwardowi: Jutro go zacapią; tu nie ma co ceremonji robić, nie będziemy Lambertowskich błędów powtarzać! trzeba energii.

Na tém się rozmowa skończyła, wszyscy się rozechodzić zaczęli wysuszywszy do dna butelki. Trzeba to wyznać na pochwałę Edwarda, że popelnivszy zbrodnię, choć z przekonania, iż dopełniał jakiegoś społecznego obowiązku, uczuł się jak otruty. Oblaty go zimne poty, zaczął drżać i ledwie się zawlókł do swego mieszkania. Nie zapaliwszy świecy, chodził z godzinę tłukąc się

w ciemności i myśląc nad tém, czy nie wypadaloby pójść przestrzedz Karola; ale to pocziwe postanowienie obalił strach, aby się jego zdrada nie wydała. Namęczywszy się do białego dnia, usnął wreszcie z przekonaniem, iż się przyłożył do ocalenia zagrożonego społeczeństwa.

Parę dni następujących upłynęły pannie Jadwidze w niepokoju, z którym się tać musiała. Chociaż Karol mieszkał w tym samym domu, powszedni ruch podwórza był tak wielki, że wśród niego, trudno było rozpoznać czy się tam co nie stało na trzecim piętrze. Karol jednak następnego dnia przyszedł na chwilę wieczorem, ale widocznie roztargniony i zmięszany, przed Jadwigą udawał wesołego i znikł prędko jakby jej unikał. Nazajutrz o zwykłej godzinie herbaty, zebrali się codzienni goście, nawet Edward blady i niespokojny, Karola tylko widać nie było. Na twarzach przytomnych malował się smutek i zakłopotanie, mówiono o obojętnych rzeczach.

Postawa i wybielała twarz Edwarda tak uderzyły Jadwigę, że się aż przyszyła spytać go czy nie chory? Wybąknął coś tłumacząc się i dziękując, ale oczy jego tak dziki miały wyraz, pra-

wie obłąkany, że Jadwiga posądziła go o jakąś tajemniczą boleść.

W istocie, Edward, jak człowiek co pierwszy raz w życiu popełnił występki, doznawał w sumieniu nicopisanych zgryzot; całe jego postępowanie ze swą szkaradą i podłością przychodziło mu na myśl i w uszy biło potępieniem. Widział się już w ulicy obrzucany błotem i kamieniami, powieszony na latarni, wstyd oblewał mu czoło, gorączka paliła usta, kręcił się jakby pragnął ukryć, myśląc, że wszyscy na jego czole czytają piętno hańby.

Edward wiedział już od kilku godzin, że Karol napadnięty na ulicy przez żandarmów którzy go ścigali, został aresztowany i zawieziony do cytadeli. Czuł że się do tego przyczynił, uaprawdę chciał przed sobą wyrozumować, że uczynił przysługę społeczeństwu, że Karolowi nie nad chwilowe zaunknięcie nie groziło; uparcie przedstawiał mu się obraz nieszczęśliwego wiedzionego na Sybir i siebie ze stryczkiem na latarni. Dławił się chcąc mówić, potykał chodząc, śnił się bez przyczyny, był bezprzytomny. Najpowierzchowniejsza znajomość człowieka wskazywała w nim niepokojone sumienie.



Z przyjaciół Karola i zwykłego jego towarzystwa nie było nikogo, uderzało to także Jadwigę, oglądała się na drzwi za każdym ich otwarciem, ale napróżno; on, nie przychodził! Połowa przynajmniej gości wiedziała już o jego losie, nikt tego smutnego przedmiotu tknąć nie chciał.

Było już około dziesiątej, gdy drzwi się otworzyły i wszedł zupełnie nieznajomy mężczyzna. Był to młody człowiek, surowej postawy, bladłej twarzy, smutnego wyrazu. Przedstawił się pannie Jadwidze jako przyjaciel Karola i prosił ją o kilka słów rozmowy. Żywo podbiegła w drugi koniec salonu, mając już straszne przeczucie.

— Co mi pan powiesz? rzekła.

— Przepraszam panię za moje natręctwo, jest trochę papierów i kilka książek którebyśmy przechować chcieli, możebyś pani była łaskawa na kilka dni je przyjąć do siebie.

— Najchętniej odpowiedziała Jadwiga, ale pan Karol...

— Spodziewamy się, że będzie uwolniony.

— Jakto? zakrzyknęła Jadwiga łamiąc ręce, on wzięty?!

— Pani nie nie wiesz?

— Nie! cóż się stało?

— Zandarmini schwytali go na ulicy, zawieziony do cytadeli, w domu jego nic nie znaleziono, prócz kilku książek które są wszędzie.

Jadwiga tak była poruszona że mówić nie mogła, zbladła, drżała jak liść, ale starała się udać spokojną. Ta chwila dopiero przekonała ją jak on jęj był drogin. Czuła że się z tém zdradzić nie była powinna, ale samo wysilenie na męztwo nieziniernie ją kosztowało.

— Daj mi pan te papiéry i książki, a po chwili dodała:

— Panowie się nie boicie o niego?

— O tyle o ile dziś można się nie lękać o kogoś co jest w cytadeli. Mogą i powinni go wypuścić, nie ma żadnych winy dowodów; ale mogą również wywieść na Sybir, skazać w sol-daty, bo dosyć być podejrzanym aby być winnym.

To mówiąc, podał jęj nie wielki paczek, który Jadwiga rzuciła na krzesło, uklonił się i wyszedł powoli. Spójrzawszy po salonie i twarzach tych obojętnych ludzi którzy mieli być świadkami jęj boleści, Jadwiga zapragnęła serdecznie żeby się ich pozbyć co najprędzj, nie chciała pokazać po sobie jak strasznie cierpiała, potrzebowała zebrać myśli, chciała być samą. Na nieszczęście prawie zawsze naówczas

gdy ludzie nam ciężą, mamy ich najwięcej koło siebie. Goście łatwo się domyślili odebrancę przez nią wiadomości i chciwie śledzili wyraz jej twarzy. Nim przeszła przez salon, mając stanąć pod pręgierzem tych oczu, potrafiła ovladnąć sobą, dumna dziewczęta uderzyła jej do czoła, bohatyrskie męstwo napęliło piersi.

— Jest w więzieniu, rzekła w duchu, ale żyje, rozłaniem więzienie, rozkujem kajdany. on musi być wolnym!!

Dziwna jakaś nadzieja zstąpiła na nią, prawie spokojna i uśmiechnięta podeszła ku zgromadzeniu. Wszystkie oczy były zwrócone na nią, nie z niej jednak wyczytać nie było można, prócz wyrazu niezłomnej odwagi.

— Pani zapewne już wieśz, rzekł hr. Albert, że tego pana Glińskiego, którego miałem przyjemność poznać tutaj, podobno dziś ujęto...

— Wiem o tém, odpowiedziała mu Jadwiga żywo, ale mam nadzieję, że będzie wolny. Ciotka która nie wiedziała o nicém, dosłyszała nazwisko Karola; poczciwa kobiecina, już się z nim była jakoś trochę pogodziła.

— Cóż to się tam stało panu Glińskiemu? zapytała.

— To, co wszystkich każdej chwili spotkać dziś może, wzięto go do cytadeli; jednym męczennikiem więcej, jednym prawym człowiekiem mniej przy ołtarzu ofiarnym, ale Bóg nad nami!

Wyrzekła to z taką godnością i spokojem, że ciotka przełękła się nienaturalnego jój chłodu, czuła że pod nim kryje się jakieś olbrzymie postanowienie.

— A! mój Boże, mój Boże! rzekła, jakże mi go strasznie żal.

W czasie całej téj rozmowy Edward stał i uśmiechał się, sam nie wiedząc czego, ale dolna warga drżała mu konwulsyjnie, a z czoła pot zimny toczył się kroplami.

— Ciociu, marszcząc brew, odpowiedziała Jadwiga, wszyscy dziś poczciwi ludzie muszą przejść przez cytadelę, przepraszam panów, dodała z gorzkim uśmiechem, ale mam nadzieję że wszyscy bez wyjątku wyrazy moje usprawiedliwicie. Tak jest, mówiła z rodzajem gorączki wieszczéj, jest to czas ofiar, od których nikt uchylić się nie może, biada tym co zechcą pozostać zinnemi widzami dramatu, zaprzemy się ich wszyscy!

I rzuciła okiem po swych gościach, na których twarzach widać było zakłopotanie, wielu

z nich nie życzyli sobie nawet roli komparsów w tak trudnej odegrywać sztuce.

Tém mężtwem pokryła wprawdzie niepokój, ale exaltacja jej oświadczyła o uczuciu głębokiém, wszyscy milczeli, ktoś rzucił parę słów ubolewania, ciotka zaczęła płakać, i musiano jej podać szklankę wody, goście powoli rozchodząc się zaczęli. Edward wyszedł prawie ostatni i wpadł do najbliższej enkierni na kieliszek araku, którym dodał sobie mężstwa.

Gdy za ostatnim drzwi się zamknęły, Jadwiga u nóg ciotki padła złamana i rozplakała się jak dziecko.

— Ciociu, mateczko! próżno bym ci kłamała, on był moim jedynym, moim ukochanym, uschnę bez niego, umrę bez niego, serce mi łzami wypłynie, wzięli go okrutnicy, ale ja im go niedam!!

— Dziecko, co ty pleciesz, cicho na Boga! cóż ty mu poradzić możesz?

— Ja, jeśli nie ja, to nikt! Jeżeli takie uczucie jak moje nie dokáže cudu, to cud jest niepodobieństwem...

— Ale cicho! Ale uspokój że się! Ty wiesz u nich wszystko zrobić można pieniędzmi, zapłacim co zechcesz, tylko potajemnie, abys się nie skompromitowała.



— Ja? śmiejąc się dziko, zawołała Jadwiga, ja chcę być skrompomitowaną, ja o to nie dbam, mnie chodzi o niego nie o siebie! Rachować nie umiem, ale poświęcić się potrafię.

Nie będziemy malować téj rozpaczliwój sceny która się długo w noc przeciągnęła. Jadwiga na przemiany słabnąca niewieścim bólem, to exaltująca się bohaterskimi poświęcenia myślami, zdrętwiała, wreszcie zbudziła w sobie odwagę do walki tém trudniejszój dla jój charakteru, że się bez fałszu, udawania i podejść obejść nie mogło... Napróżno ciotka starała się ją powstrzymać, obiecując ze swój strony, wszystko możliwe, Jadwiga nikomu tego, co za swój obowiązek uważała, powierzyć nie chciała. Obie kobiety złamane, zalazawione rozeszły się ledwie nad rankiem, ale świtający dzień zastał jeszcze Jadwigę jak osłupiałą, siedzącą na łóżku z rozpuszczonemi włosami. W ciągu tych kilku godzin, przeszły jój przez głowę przypomnienia wszystkich cudownych z więzienia uwolnień; a żeby się obeznać z cytadelą, rzuciła się do pamiętników Gordona. do Rufina Piotrowskiego... Po długich rozmyślach nabrała przekonania, że żelaznej woli nie się oprzeć nie może, że z za murów i straży wyswobodzić można, gdy się wyswobodzeniu chce poświęcić, ale

zarazem powiedziała sobie że trzeba być chłodną, męzną, i zamiast lez bezsilnych, zmóć się na obrachowane czyny. Ta walka z naturą niewieścią była najcięższą dla Jadwigi, potrafiłaby wściekle rzucić się na oprawców, ale się im uśmiechać, ale kląć i obojętnością, potrzebowało prawie nadludzkiego wysiłku!!

Uklęka, modliła się, uczuła się pokrzepioną i wstała z gotowym już planem.

Miała uchodzić za cioteczną siostrę Karola, pójść go naprzód odwiedzić w więzieniu, zawiazać stosunki z temi co bywali lub wchodzić mogli do cytadeli, a potem bądź co bądź, w jakikolwiek sposób wyrwać z tamtąd ukochanego więźnia.

Projekt podobny mógł tylko powstać w sercu i nieświadomości niewiasty. Ze wszystkich więzień Europy, twierdze rosyjskie w których zamykają więźniów politycznych są najlepiej strzeżone. Nie mówiąc już o murach, zamkach, położeniu kazamat i więziennych gmachów, natura moskiewskiego żołdata najlepiej je zabezpiecza. Przy głupocie, która jest zawsze ślepo posłuszną i bojaźliwą, żołnierz ten ciśnięty i gnieciony, nabywa barbarzyńskiego instynktu zemsty, spełnia on obowiązek strażnika *con amore*, napawa się cierpieniem ludzi nad którymi znęcać się ma prawo. Są to istoty

słabsze i nieszczęśliwsze od niego, w obec nich czuje się władzą i siłą, mści się na nich za wszystko czém mu żołnierska dojęła niewola. Odarty z gro-sza więzień, pozbawiony jest jedyne go środka, którym by do tych zbydlęconych wartowników mógł przemówić. Ucieczka w podróży jest jak-kolwiek trudną, ściśle jednak biorąc możliwą, z twierdź prawie zupełnie niepodobną, ale jestże niepodobieństwa dla serca które kocha?

---

Kto nie oddychał więzienném powietrzem, komu nieprzeżyte godziny tęsknoty nie śpiewały zabijającej pieśni milczenia, kogo niewola nie ścisnęła torturą powolną a sroższą nad wszelkie inne, ten o sobie wyrzec nie może, że siebie zna do głębi. Wiedzieli o tém mężowie boży, którzy się dobrowolnie odłączając od ludzi, szli na pustynię, zakopywali się w skały, zamykali w ciasnych celach. W długiej tylko samotności wyprobowuje się umysł ludzki i serce. Naówezas sił na życie nie czerpiemy z zewnętrznego świata, musimy je brać z samych siebie, i wątły człowiek zamiera wkrótce, ale mocen w sobie, potężnieje olbrzymio. Na wszystkich co długie przecierpieli więzienie, wielka ta próba położyła piętno nie zmazane. Jak owi strażnicy na wysokich wieżach którym się świat z góry maluczkiem wydaje, tak oni pustelnicy, nawet wypuszczeni na wolność, wszystko już widzą drobném

i małym. Lecz aby więzienie było lekarstwem i tym czarodziejskim filtrem co duszę odmładza, potrzeba doń wejść z sumieniem czystym, z myślą nie splamioną. Zgryzota w samotności jest jako rdza wśród wilgoci, rośnie ona i pożera. Dawne więzienia średniowieczne, owe lochy głębokie, w których przykuty niewolnik na poly gnił, na pół sechł w męczarniach gwałtownych, miały w sobie coś barbarzyńsko poetycznego, dzisiejsze podobne do niewygodnych mieszkań, prozaiczne, zatechłe, przybierają fizjonomję cywilizowaną, pozor wygodny, aby się więźniń konając w nich nawet poskarżyć nie mógł.

Do jednój z takich cel, których numer nad drzwiami staje się więźnia nazwiskiem, wprowadzono Karola po schwytaniu go na ulicy. Zwykle korzystając z pierwszego przestachu, nie dając się opamiętać więźniowi, ciągną z niego natychmiast badania; przekonano się bowiem, że najsilniejszy czasem nagłym najściem strwożyć się może, i nie mając czasu do rozmyśłu, splatać w odpowiedziach. Tą razą jednak, nie badano nawet Karola, nie mając żadnych dowodów winy, ani skazówek do czynienia zapytań. Z innymi mniej ważnemi więźniami często badający pozwalają sobie prób najdziwaczniejszych, na wiatr dając za-



rzuty, naciskając groźbami, upewniając że wszystko wiedzą. lub zmuszając do dobrowolnych zeznań obietnicą przebaczenia. Z Karolem nie śmiano sobie tak postąpić, wiadano że nie nie powie, potrzeba było czekać aż się jaki zarzut wynajdzie, a nadewszystko przetrzymać jak najdłużej więzienia którego o wpływ i przewagę moralną posądzano.

W chwili gdy był schwytany na ulicy, w domu jego jak najściślej odbyła się rewizja, przekonani byli wszyscy znając człowieka że się tam nie nie znajdzie, ale gdy się kogo gubić zapragnie, można ze wszystkiego korzystać, nawet ze zbytnej ostrożności. Tak jak w pałacu Zamoy-skich kilka osób pociągnięto do odpowiedzialności, za to, że u nich znaleziono tłumoki gotowe do podróży, można było obwinić Karola za łada świstek któryby się w jego pokoju znalazł na podłodze. Mimo wielkiej baczności wśród papierów i książek, znaleziono notatki architektoniczne które miały mieć cyfr tajemniczych, w małej bibliotece kilka tomów dzieł zakazanych. Wszystko to starczyło jeśli nie na surowsze obwinienie, to przynajmniej na jakie takie wytłomaczenie uwięzienia. Nie spieszo się więc z badaniem, bo głównie szło o to, aby trzymać pod kluczem.

Gdy po życiu swobody i ruchu, młody człowiek z duszą gorącą i z sercem rozkołysaném, znajdzie się nagle wśród tych czterech murów posępnych, w tym półmroku szarym, wśród cizy przerywanéj brzękiem karabinów i jednostajnym chodem straży, zrazu zda mu się to snem który prędko przejść powinien. Każdemu uwięzionemu, marzy się z początku że go nazajutrz uwolnią, liczy swych przyjaciół, stosunki, rachuje na los, nie wierzy wreszcie aby mu tak w pełni życia schnąć kazano.

Izdebka do której wprowadzono Karola, była podobną tym wszystkim w których więźniów politycznych zamykają, szczupłą, zbrukaną, zapyloną, i wiejącą jakąś tęsknicą nieopisaną. Przez zakratowane okno, którego szyby nie przejrzyste okrywał pył i brudy, przechodziło światło dzienne, przybierając ten ton mglisty który nawet pory dnia rozpoznać nie daje. Tapezan z brudném i lichém posłaniem, prosty stółek i stoliczek sosnowy, były całym sprzętem téj smutnéj celi więziennéj. W kącie mały piec kaflowy bez drzwi-czek, popękany, okopcony, zdał się także jakimś więźniem skamieniałym z tęsknicy. Ściany pokrywało niegdyś jakieś zielono szare malowanie, ale wilgoć i pyły zmieniły je na barwę brudną.

Gdzieniegdzie na murach, w długich dniach marzenia i boleści poprzednicy Karola powypisywali imiona swe, daty, urywki poezyj, które dziwnie odbijały na szarém tle muru. Troskliwi stróże pozacierali napisy, które tajemnice moskiewskiej bastylli zdradzić mogły: ale przy największém staraniu, tu i owdzie ocalały niedostrzeżone wyrazy strasznego znaczenia. W pierwszych chwilach uwięzienia Karola, rzucił się z chciwą ciekawością na te świadectwa życia które sam rozpoczynał. Po kątach, w cieniu na wyżynach ścian, pełno było tych strasznych materjałów do historji naszych boleści. Tu i owdzie błękały się cyfry i imiona znane, ludzi co wrócili do życia lub których grobowa pochłonęła cisza. Po wielu z nich, nie już nie pozostało nad tych kilka wierszy w pół zatartych, które drżącą skręśliłi ręką. Cały dzień prawie chodził Karol odszukując tych szczątków, jak u brzegu morza po rozbiciu okrętu snują się ludzie czatując na resztki które fala wyrzuca. Niektóre z tych napisów przejmowały boleścią i trwogą, inne raziły ironją straszną. Były tam i pożegnania, i nadzieje, i tajemnicze cyfry, i daty których znaczenia odgadnąć było niepodobna. Za piecem, zapewne aby się ukryć

od oczów stróża, narysował ktoś szubienicę i pod nią tych wierszy parę:

Szubienicy się nie wstydzę,  
Srom mi nie oblewa lica,  
W krzyżu szubienicę widzę,  
Krzyżem będzie szubienica.

Tą samą, zdaje się, ręką ale mniej śmiałą i drżącą nakręślone było niżej: Marjo, bądź zdrowa!

Szerokie plamy białe dawały się domyślać daleko dłuższych i ciekawszych zatartych kronik więziennych. Z niejednej pozostał tylko wykrzyknik, lub wyraz niedostrzeżony, wyglądający jak kość od skeletu na smętarzu.

Ta potrzeba wyrażenia swych myśli i zostawienia jakiejś pamiątki po sobie tak była gwałtowną, że szukała wszelkiego miejsca gdzieby się bezpieczniejsz utulić mogła. Ślady napisów były na stoliku, na łóżku, na stołku, nawet na podłodze.

W jakiejś bajce mówią o głosach zamarzłych u lodowatego bieguna, które z wiosną tają i ulatują w powietrze; takie wrażenie jak te urywane wyrazy, czyniły na Karolu owe szczątki rozspanych myśli, i pamiątek cierpienia. Na stole ledwie dostrzeżonych było kilka wierszy drobnutkim charakterem pisanych, widocznie jakąś drzaczką drewnianą, umoczoną w krwi kropelce — odczytał je chciwie:



„Ktokolwiek jesteś, witam cię przechodniu! Nie powiem: nie miej nadziei, ale ci życzę miłej cierpliwości.“

Przebiegłszy wszystko co go rozerwać mogło, Karol spostrzegł jeszcze jeden ślad swoich poprzedników, na grubiej i zbrukaniej podłodze świeciła z końca w koniec pokoju wydeptana ich nogami ścieżka, jak te wyslizgane plamy które dzikie zwierzęta w klatkach niecierpliwą wycierają stopą.

Pomyślał że i on wkrótce na tej ścieżce swe ślady zostawi. W pierwszym dniu więzienia jeszcze się zawsze żyje zaczerpniętém życiem dawniejszém, przynosi się z sobą zapas, który się potem powoli wyczerpuje, naówczas człowiek cofa się coraz głębiej w swą przeszłość i ogryza z głodu suche kości pamiątek. Karol wszedł tu z mężstwem i mocném postanowieniem nie dać się złamać tęsknicy i samotności. Nie raz przypuszczał on już, iż go ten los spotkać może i zbroił się na wszelki wypadek. Z gotowym więc programem rozpoczął niewolę, postanowiwszy surowiej i dłużej zastanowić się nad wielą zadaniami, których nie miał czasu dotąd głębiej roztrząsnąć, ale gdy przyszło piękną tę teorię zastosować, postrzegł że uwięzione ciało i myśl także krępuje. Napróżno pragnął oderwać się od rzeczywistości, gorące



wspomnienia ścigały go, nie dając mu pokoju; walczył z niemi, ale w końcu uczuł się zwyciężonym i powiedział sobie, że nim prace rozpocznie wprzód w te nowe formy życia wrosnąć musi.

Wspomnieliśmy już o tej prozie więzienia, która je stokroć może niecznośniejsem czyni nad jakąś wielką podnoszącą duszę męczarnię. Ta izdebka brudna, ci cuchnący żołdaci przynoszący obrzydliwe jadło w pootłukanych i niemytych talerzach, ta strawa której obrzydliwość dotknąć nie pozwala, są wprawdzie drobnymi akcesorjami niewoli; ale ją czynią, w początkach przynajmniej, jakby wymyślną i obrachowaną torturą. Wszystkie twarze tych stróżów na których nie srogość ale lisia chytrość i najwyższe moralne zepsucie się maluje, zdają się urągać więźniowi; litość, współzucie, są dla nich zupełnie nieznane. Szydersko tylko poglądają, jakby śledząc skutków więzienia na niewolniku. Wiedzą z doświadczenia zbiry którego dnia zniknie męztwo, kiedy przyjdzie znużenie, tęsknica, choroba, bezsilność, rozpacz; każde ich wejrzenie szukać się zdaje symptomatów, z których stan ducha odgadnąć umieją.

Karol nie tknąwszy przyniesionego jadła, obszedł się pierwszego dnia suchym chlebem, bo,

jakkolwiek przywykły do bardzo prostego życia, nie mógł jeszcze tknąć potraw odrażających przez to samo że je brudne żołdaków rozdzielały ręce; ale głód jest wszechmogącym, nazajutrz, potrzeba było coś wziąć w usta, a potem już się obyło nawet z niechlujstwem i brudem. Dzień jeden i drugi minął w zaniknięciu niczem nie przerywaném, powoli tylko w téj beczynnej samotności uczyło się rozpoznawać po najmnijszym szeście rozmaite chwile jednostajnego życia cytadeli; zmiany wart, rewizje naczelników, przyniesienie śniadania i obiadu, były jakby zegarem oznaczającym dnia podziały. Powolny chód żołnierza jak skazówka sekundowa mierzył drobniejsze chwile; niekiedy okienko zakratowane we drzwiach obwarowane zasuwą od korytarza otwierało się, aby straż mogła śledzić każdy ruch więźnia i podpatrzeć jeśli by wdrapał się ku oknu, aby trochę więcej nieba zobaczyć.

Książka byłaby drogim towarzyszem w téj pustyni, ale nie każdemu one dozwolone a wybór ich zależy od władzy która je jak pokarmu ostrożnie więźniom udziela. Pióro i kałamarz, te zbójckie narzędzia, wielce podejrzane rządowi mało się udzielają, a papier zwykle bywa starannie ponumerowany, aby kartka z niego na świat gdzieś

nie uleciała. Dziwne też czasém wyszukują się środki, gdy umysł zajęcia pragnący, rojąc ciągle myśli swe chce utrwalić; jedni piszą kropelką krwi wyciśniętą z palca na kawałku krochmalnej koszuli, drudzy trochę sadzy rozpuszczonej w wodzie, inni na plasterkach umieszonego chleba z pomocą małego drewnianka. Któż nie widział w ostatnich czasach tych chlebowych robót więźniów, którzy od ust sobie odejmowali strawę byle znaleźć jakie zajęcie?

Karol jeszcze był nie doszedł do tego stanu znękania, ale w kilka dni już mu cisza i samotność ciążyły, i wiele byłby dał za papier i ołówek. Codziennie spodziewał się badania, ciągle się do niego przygotowywał, ale dzień po dniu spływały w nieprzerwaną ciszy. Każdy, kto tego życia kosztował, wie o tém jak dziwnie długie wydają się te dnie nieprzeżyte, choć zebrane razem tworzą potem jakąś całość która się dziwnie krótką wydaje. Szara ta tkanka nie ma nici co by ją przedzielały, długości jej rozmierzyć pamięcią niepodobna, bo myśl nie ma się na czém zatrzymać.

Czwartego dnia żołnierze przyszlizli aby go do komisji śledczej zaprowadzić, pomiędzy ich bagnietami przeszedł puste korytarze, czekał potem

w osobnej izdebce dosyć długo, aż go nareszcie przed ów trybunał wprowadzono.

Główne w nim miejsce zajmował blady średnich lat w mundurze jeneralskim mężczyzna. Dość było spojrzeć na tę twarz pożółkłą od złości, aby mieć wyobrażenie człowieka któremu ani charakter, ani talent, ale temperament dał prawo do stanowiska które zajmował. Na ten raz pan jenerał uznał właściwem być poważnym, surowym i prawie grzecznym.

Po zwykłych formach wstępnych wysilił się na rodzaj nauki moralnej, którą w pół po rusku, pół po polsku, z widoczną wprawą odrecytował. Zadane pytania świadczyły zresztą że nie miano o co obwiniać Karola, były to ogólniki dosyć zręcznie poklecone, ale z nich przekonał się Karol że wszystko spoczywało na domysłach i głuchych wieściach. Jenerał zapewniał, jak zwykle, że rząd o wszystkiem jest zawiadomiony, ale pragnie zeznania jako dowodu skruchy i żalu, pod tym warunkiem przyrzekając przebaczenie. Z zarzutów łatwo się było wytłumaczyć, ale gdy odpowiedzi zapisano w protokół, ujrzał Karol na stole jako *corpus delicti* leżących kilkanaście książek zabranych w jego mieszkaniu. Wszystkie były zakazane, a chociaż się one wszędzie znajdują, można



zawsze, gdy się zapragnie, skazać na Sybir posiadacza.

Spytany, z kądby je miał, Karol powiedział że nie pamięta, ale że zwykł był, nie mając wiele grosza na książki, kupować je na ulicy u żydków, dodał wreszcie, że spis książek zakazanych nigdy ogłaszanym nie bywa, nie można więc z pewnością wiedzieć jakie mianowicie do tej kategorii należą.

Jeneral kiwał głową, nie smakując w tém tłumaczeniu, spytał wreszcie więźnia, czy wiedział jakiej ulega odpowiedzialności za posiadanie tak buntowniczych i podniecających pism, a nie czekając odpowiedzi, dodał z powagą:

— Spodziewałem się, że pan szczerym być zechcesz, widzę że potrzebujesz dłuższego namysłu, aby się przekonać o konieczności posłuszeństwa, przedłużasz więc waćpan sam więzienie, któreby krótszém być mogło. Jeślibyś po namyśle życzył szersze uczynić wyznania, proszę dać znać komisji, która ich oczekiwać będzie. Inaczéj, dodał ciszej, proszę się rychłego uwolnienia nie spodziewać, i następstw bardzo nieprzyjemnych...

Karol na przydługą tę admonicję nie widział potrzeby odpowiadać, uklonił się i żołnierze od-



przewadzili go do numeru, do którego wrócił prawie wesół, sądząc, że z ogólnych obwinień niczem niedowiedzionych, i za posiadanie zakazanych książek nic go tak straszego czekać nie może.

Po tém krótkiem badaniu nastąpiły znowu téż same długie dni, nudy i tęsknoty tak podobne do siebie, że się z nimi policzyć ani z nich żadnego wyróżnić nie było podobna. Karol musiał oznaczać je sobie rysami na ścianie, aby przypomnieć od jak dawna był uwięziony. Wkrótce i on rozpoczął tę przechadzkę po wyslizganej ścieszcze środkiem izdebki i całemi godzinami ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach machinalnie, jak koń na deptaku, chodził aż do zupełnego znużenia. Bronił się jak mógł temu upadkowi ducha, który ciągnie za sobą obezwładnienie ciała i przymusowe próżniactwo; z przestachem postrzegł że go niekiedy chwytal ów sen, sen ciężki, bez marzeń, gniotący, którego skutkiem jest jakieś zdrętwienie mózgu i ociężałość myśli; ale nie było czém w téj pustce milezącej zaprzątnąć wyobraźnię, rozerwać się choćby na chwilę. Przez zasmolone okno nie widać było nieba, ani chimur, ani słońca. Dzień się robił szary i rozpływał powoli w grube ciemności, ze świata ani dźwięk ani ruch żaden nie dochodził, jednostajne stąpanie

żołnierza podedrzwiami było jakby odgłosem wadła więziennego zegaru. Nadto stąpanie, nad ciche szepty żołnierzy i głośniejszą zmianę warty, nie więcej nie słyszał.

Jednego dnia, gdy o zwykłej porze, żołnierz-posługacz przyniósł mu liche jedzenie, Karol który był już odwykl spoglądać nawet na zimne lub szyderskie twarze posługaczy, mimowolnie podniósł głowę słysząc ode drzwi kilkakrotne chrząkanie; poczuł że było umyślném, ale nie mógł pojąć co by znaczyło.

Przy drzwiach stał żołnierz wybladły, mizerny, litościwém na niego poglądający okiem. Wpatrując się weń Karol napróżno chciał sobie przypomnieć gdzie go i kiedy widział, rysy wszakże były znajome, pamięć tylko nie zatrzymała okoliczności w jakich je pierwszy raz spotkał. Wpatrywał się tak w niego, napróżno siłąc przypomnieć gdy ujrzał na jego twarzy lekki uśmiech porozumienia i jakiś ruch, którego z początku nie zrozumiał. Żołnierz coś mu wskazywał na stole, a palec kładł na ustach wzbraniając mówić i pytać. Niespokojny, Karol spoglądając na żołnierza, chwycił z kolei wszystko co mu przyniesiono, ale ten trząśł głową, dopóki nie wziął w rękę chleba. Widocznie w chlebie coś było ukrytego, Karol

rozłamał go żywo i znalazł w nim kartkę malutką zwiniętą w trąbkę, którą skwapliwie otworzył. Nieznana mu ręką, charakterem kobiecym, napisane na niej były następujące słowa:

„Męztwa i cierpliwości i dobrych nadziei, powiedz czy ci czego nie trzeba, oddawcy wierzyć można.“

Pomimo tego zapewnienia które mu zaraz na pamięć przywiodło, że żołnierz ów był Tomaszkiem którego widział u panny Jadwigi, Karol nie bardzo dowierzał temu pośrednikowi. Wiedział on jakich środków i podstępów używają w więzieniach, aby się dobrać poszlaku winy, albo ją nawet stworzyć; stosunek z żołnierzem, a przez niego z zewnętrznym światem, był już występkiem w ich oczach, zresztą, choć się na kartce téj domyślał ręki Jadwigi, nie był pewnym bo pisma jej nigdy nie widział. Zmiał więc karteczkę, a gdy żołnierz nietknięte zabierał jedzenie, szepnął mu tylko:

— Podziękuj, powiedz że nie nie potrzebuję.

Gdy to mówił, Tomaszek z szerokiego rękawa żołnierskiego płaszcza wysunął małą książeczkę białego papieru i ołówek, który Karol pochwycił i schował. Brzękając talerzami, żołnierz dodał jeszcze:

— Gdyby znaleźli, nie mówcie od kogo!

— Bądź spokojny, nie zdradzę, rzekł Karol cicho.

Drobny te wypadek, wielką wszakże ulgę przyniósł więźniowi, dowiódł mu pamięci ludzi i dał środek zapelnienia długich godzin beczynnych. Na kartkach téj książeczki mógł zapisywać myśli które rzucił, jak owe w bajce kamyki idący przez pustynią podróżny. Samo ich odczytywanie już było pewnym rodzajem zajęcia odżywiającego. Na wydartym z téj książki papierku, przygotował odpowiedź, którą Tomaszek przyszedł się na trzeci dzień domagać.

„Męztwo i cierpliwość starczą jeszcze, a na-  
dewszystko wdzięczność.“

Tak spływały pierwsze chwile tego nowego życia, samotności i tęsknoty.

Œroczne wypadki późniejsze wymazały nam z pamięci chwile te walki powolnej które je poprzedziły. Zbladły przy nich owe sceny tragi-komedji margrabiowskiej, które były prologiem wielkiego dramatu dni dzisiejszych.

Nie mniej wszakże chwila ta zasługiwałaby na troskliwe zbadanie. Nie wchodząc w to, jak dziwnym składem okoliczności margrabia ze swym systemem, potrafił się narzucić moskalom, ani czy ta próba była z ich strony szczérą czy podstępną, nie zaglądając poza kulisy, których tajemnice nie prędko się odsłonią, sama zewnętrzna strona, sama fizjonomja téj chwili jest już wielce zastanawiającą. Z jednej strony kraj party tysiącem pobudek do nieuchronnego zerwania z rządem, z drugiej rząd niby laskawy, podający dłoń przez ramiona margrabiego. Postać wielkiego księcia



Konstantego, jest tu czysto-dodatkową, jak czasem w dramatach występujący na tronie, niemy król i królowa, ukazuje się tu wielki książę bez myśli, bez woli, płochym i dziecinnym, wśród najważniejszych wypadków, ze skrytém może marzeniem o jakiejś niebieskiej koronie, ale z obawą, aby go nie zrozumiano, nie podejrzrywano, nie usunięto. Nie ma on ani dosyć energii aby zdradzić Rossję, ani dosyć uczciwości, aby się fałszywej wyrzec roli. Zdawszy wszystko na człowieka, o którym sądził że go zrozumiał, bawi się w Łazienkach, muzyką, spacerami, swym dworem, i cieniem panowania; istotnie króluje margrabia.

Wystawmy sobie człowieka w którego krwi płynie wiekowa duma polskich magnatów, zwiększona jeszcze tém, że jój nie popiera ani majątek, ani znaczenie, ani wiara ogólna w człowieka czującego w sobie energją i niezłomne zaufanie w swe zdolności. Tym nawet, którzy nigdy z bliska nie znali człowieka, przeszłość jego czyni go zrozumiałym. Pochodzi z rodziny, która nigdy w historii kraju znacznej nie grała roli, nie wydała ona żadnego męża coby jaśniał blaskiem szczególnym na kartach dziejowych, ale jak bardzo wiele rodzin arystokratycznych, im mniej ma zasług prawdziwych i praw do przodkowania narodowi, tém

więcej do nich rości pretensji. Każdy inny, stanu pospolitego człowiek, tych darów co Margrabia, wcale by może za znakomitość nie uchodził, ale rozsądek i energja przy imieniu, stosunkach i uroku jaki się wiąże do nich, dawały mu, daleko wprzód niż zajął swe stanowisko, sławę, męża wielkich przeznaczeń... Nie widzimy ją niczém usprawiedliwioną, chyba tém, że nie nie robiąc, nie mógł być należycie ocenionym.

Pierwsze lata życia Margrabiego schodzą w wiejskiej zaciszy na walkach sądowych z wierzycielami, poświęcone odbudowaniu fortuny bardzo zachwianej. Mówią, że w wyborze środków do podźwignienia wcale delikatnym ani wybrednym nie był. W życiu domowém, pan absolutny swego rodzinnego koła, otaczał się powagą średniowiecznego magnata, wszystkie zadawnione formy poszanowania należne sinéj krwi wybranej, najściślej w domu były zachowywane — i to maluje człowieka. Trochę ksiąg, dużo procesów, zupełne odosobnienie od świata, i życie w kole ludzi których za równych sobie nie uważał, wyrobiły w nim ten charakter twardy, nie cierpiący dyskusji, chytry i przebiegły, z żelaznym uporem trzymający się raz wytkniętej drogi, którą wiara we własny rozum przedstawiała za

nieomyślną. Pierwszy raz wystąpił czynnie jako posłannik rządu rewolucyjnego w 31 roku, do Anglii. Zdaje się, że już wówczas radząc się tylko siebie, a kierując uporem, który brał w sobie sam za energję i drugich nim oszukiwał, mniej zrobił niż był mógł i powinien. Zwrócił się później z całemi nadziejami swemi ku dworowi rosyjskiemu, oddał syna do służby wojskowej, nie bez pewnego rozgłosu i form uroczystych. Wypadki galicyjskie umocniły w nim tę ideę panslawistyczną, którą wyraża jego list do Metternicha, dosyć swojego czasu głośny (\*). Z tych kilku próbek widać niecierpliwość człowieka który się mniema być do czegoś zdolnym, i gwałtownie z ram ciasnych prywatnego życia wyrwać pragnie. Ale wszystkiem tym wysiłkom braknie czy talentu czy szczęścia, i pomimo owój sławionej energji i rozumu, Margrabia nigdy wypłynąć na wierzch nie może. Nie udaje mu się w Anglii, nie czyni go popularnym list do Metternicha, cesarz Mikołaj, ani książę Paszkiewicz nie rachują mu za wielką zasługę ofiary syna, w procesach nie wiele jest szczęśliwszym, mimo nadzwyczajnych zabiegów, więcćj mu one robią

---

\*) Lettre d'un gentilhomme Polonais au Prince de Metternich.

kłopotu niż zysków. W tym czasie spada nań niespodziany zapis Swidzińskiego i cała ta sprawa w której on nie chce być w niczém ograniczonym spadkobiercą i samowolnie fideikomisem rozporządzać. Dar który Swidziński złożył narodowi na jego ręce, staje się przedmiotem nowego procesu, zwiększającego jeszcze bardziej jego niepopularność. Wielopolski upiera się nie mając słuszności po sobie, obelgami obrzuca ludzi broniących dobra publicznego, które on usiłuje sobie przywłaszczyć. Naostatek widząc, że wszystko się przeciw niemu obrusza, dobrowolnie wyrzeka się tego daru i niejako przyznaje do winy.

Z toku téj sprawy już można poznać całego człowieka; takim on samym ma być gdy chwilowo w swych rękach będzie trzymał losy kraju, zarozumiałym, niezręcznym, upartym, i, pomimo pozornéj energii, w istocie słabym. Ten kto się prawdziwie silnym czuje, umie się zastosować do wypadków i spożytkować nawet przeciwności które spotyka; on, aby nie być posądzonym o słabość, bije się z tym czego nie może zwyciężyć, nie idzie mu o kraj, chodzi o to aby ktoś nie dopatrzył w nim miękkości.

Doszedłszy w bezczynności lat, w których nie zaspokojona ambicja najgwałtowniej popycha czło-



wieka do wybicia się nad innych, Margrabia zdaje się zaglądać tylko któredy by się wdarł na scenę.

Boli go wielka rola i wielkie znaczenie Zamoyckiego, radby się weisnąć choćby do Towarzystwa Rolniczego, które go ze wzdargą prawie odpycha; nie mogąc się dobić nie tylko popularności, ale nawet jakiego takiego uznania w obywatelstwie, margrabia korzysta z wypadków, ze wzburzenia umysłów, przyjeżdża z projektem adresu do Warszawy i ofiaruje się z nim jechać do Petersburga. Usuwa się gdy adres odepchnięto, ale powraca znowu, wprost już rządowi ofiarując swe usługi, gdy po drugim Marca wszystko jest w zawieszeniu i niepewności. Nie zraża go wszystko na co przez rząd jest wystawiony, bierze na swe ramiona krew 8 Kwietnia przelaną, a pamiętna jego relacja o tym wypadku, wskazuje w jaki sposób będzie się przed światem ze swój roli tłumaczył. Raz wypłynąwszy na wierzch, czego od tak dawna pragnął, margrabia oburącz chwytą władzę, czepia się jej, znosi najprzykrzejsze obejście się z nim Suchozaneta, jedzie do Petersburga, i w tym świecie komedjantów oceniony jak należy, widzi się nareszcie u szczytu potęgi. Tu dosyć zręcznie dumą i pozorem niepodległości dziwi i podbija.



Nie dziw że w podobném położeniu przy wielkim egoizmie a słabych zdolnościach, przy niemocy okrytej pozorem energji, którą inaczej jak uporem nazwać nie można, głowa się zawraca i wielkiemu zadaniu poddać nie podobna. Margrabia do samego ostatka tak umiał dobrze odegrać rolę męża stanu, żeśmy widzieli istotnie wyższych ludzi obalamuconych tą jego wiarą w siebie. Jak wszyscy fałszywi messjasze i on miał swych zwolenników, jak każda władza i siła i on znalazł dworaków i pochlebców, ale nikt z nim do końca nie dotrzymał. W systemie swym politycznym był to człowiek idei średniowiecznej, wierzył w siłę, nie rozumiał wieku i kilką ciasnemi formułkami chciał wszystkiemu poddać. Był on podobnym do jednego z tych lekarzy, co wierzą w panaceum na wszystkie choroby, a choć słaby umierał po lekarstwie, on nie przestawał je wlewać w niego. Nazywano go doktrynerem, niesłusznie; całą bowiem jego doktrynę w którą sam może nie wierzył, było to, że walczy z rewolucją i przemocą ją tylko zwalczyć może. W tém czego domagał się naród, nie widział istotnych jego potrzeb które zaspokoić należało, ale jakieś poduszczenia socjalistów, jakieś spiski europejskich demagogów. Chociaż dał rządowi rosyjskiemu dowody swego dlań poświęce-

nia, nie zyskał u niego nigdy zupełnej wiary. Czuł to i ulegał mu aby na nią zarobić. To go wciągało w fałszywsze jeszcze, jeśli być może, położenie. Jak w sprawie Świdzińskich, brnął uporem coraz dalej, dopóki od wszystkich odepchnięty, nie zszedł na wygnanie bez przyszłości od którego naród się odwrócił i rząd bezsilność wyprobowawszy, odprawił pokłonem wzgardliwym.

Lech w chwili którą ta powieść maluje, margrabia był jeszcze u władzy i przy najświetniejszych nadziejach.

Pomimo grubych omyłek, jakie margrabia już był wprzód popelił, obejmując dyrektorstwo wyznań i oświecenia, między innemi przemówieniem obrażającym do duchowieństwa, ludzi spokojnych ożywiała nadzieja, że jego rozum z krytycznej doli potrafi kraj wydźwignąć. Gdy z tryumfem wlokąc za sobą lalkę wielkoksiażęcą, przybył z Petersburga, tysiącami sypnęły się wizyty do Brühlowskiego pałacu, ale margrabia zwyciężwszy w Petersburgu, upokorzywszy Adlerbergów, olśniwszy swym rozumem stolicę Piotrową, już Polskę i Warszawę miał sobie za baj bardzo, przybył dumniejszy niż kiedy, pewien siebie, z postanowieniem nie folgowania wcale ani uczuciu narodowemu, ani narodowej godności.

Ilekróć się odezwał w imieniu rządu, drażnił tylko, a zamiast przynieść z sobą rozszerzenie swobód, niósł tylko większy ucisk i arbitralność. Owe *Credo* konsula pruskiego i wszystkich generałów moskiewskich, przekonanych, że Polską rządzić jest niepodobna inaczej jak na sposób Mikołajewski, było też przekonaniem margrabiego.

Wydawało to całe jego postępowanie. Gdy na mocy dawniejszych dobrych stosunków, przychodzili doń ludzie z radami, odpychał ich z Jowiszową dumą, z uśmiechem szyderskim, zamykając się w pogardliwém milczeniu, lub wyrażając półsłówkami ironicznymi, jakby on jeden miał wielką tajemnicę w swém posiadaniu.

Przy niepomiernej zarozumiałości, nagle wywalczona władza upoiła go jak prostego śmiertelnika: mało jest ludzi którym by ta ambrozja nie zawróciła głowy. Istotnie tylko wielcy ludzie nie szaleją przychodząc do władzy, stają się poważni ale zarazem niedowierzający sobie i pokorni. Margrabia odrazu wyrósł na satrapę, zapomniał że w Berlinie słuchał liberalnych wykładów i uchodził za człowieka szanującego swobodę zarówno z prawem. Otarcie się o despotyzm, plenipotencja cesarska uczyniły go despotą. Nie umiał już poszanować nic co nie w smak było. Ukazem roz-

kazywał wdziać cylindry, szyderstwem ścigał żalobę, a w drobnych nawet rzeczach nabył już obyczajów moskiewskiego urzędnika.

Tak, dla przyozdobienia domku przy Botanicznym ogrodzie, kazał poznosić najpiękniejsze gipsy z gabinetu odlewów, należącego do szkoły sztuk pięknych, tak później kosztowne egzemplarze rzadkich drzew i krzewów z oranżerji Botanicznego ogrodu przewożono, nie myśląc o tém że uszkodzone być mogły, dla ubrania sali w Brühlowskiem pałacu. Był to nie dobry przykład, nieposzanowania publicznej własności, ale już margrabia we wszystkiem równie wyższym się miał nad prawo. W początkach udawał że je szanuje, mówił że będzie zwiastunem ery legalności, ale wróciwszy z Petersburga, tak dobrze wierzył już tylko w samą siłę jak inni.

Mianowany naczelnikiem cywilnym (co było jakby połową namiestnictwa), margrabia przybrał ton prawie monarchiczny, a jego dwornia z przyjemnością go w tém naśladowała. I on i rodzina otoczyli się wszystkiemi formami wysokiego dostojęństwa, odgradzili od pospolitych ludzi dumą bez miary.

Poniedziałkowe wieczory i wystawne czwartkowe objady, na które tylko wybranych zapraszał,



przedstawiały obraz bardzo ciekawy z wielu względów. Pomimo arystokratycznego pochodzenia, margrabia który życie spędził na wsi z żydami, ekonomami i drobną szlachtą, tak się w Warszawie obchodził ze swemi gośćmi jakby to byli jego oficjaliści. Ze bardzo wielu urzędników dla dobra służby usunął, i drugie tyle ze swęj ręki kreował, zrobił sobie kóło prozelitów, których pokora w jego salonie czasem rzeczywiście była śmieszną; ale margrabiowska koterja wyśmiewała się z nięj, prawie otwarcie vice-gospodarz, prezydent miasta, wskazując na pochylone grzbiety dworaków i śmiejąc się z tego poniżenia, ledwie komu raczył kiwnąć głową, margrabia robił sobie żarty z tych którzy mu rękę podawali, gdy on jęj nikomu prawie wyciągnąć nie raczył, czasem umyślnie dobywał chustki od nosa, aby witającego oszukać i skwapliwie wychyloną dłoń zostawić pustą w powietrzu.

Gdy w poniedziałek napęlniały się salony, wielki mąż rozrachowywał każde słowo które miał powiedzieć, każde zbliżenie się swoje, ukłon i uśmíech którym obdarzał. Wiedział co komu powiedzieć, a do najśłodszej grzeczności szyderstwa szczyptę przysypywał. Właśnie na jeden z takich wieczorów poniedziałkowych, wybrać się



musiała Jadwiga, chcąc wszelkich możliwych środków użyć w obronie Karola.

Salon Brühlowskiego pałacu nie obfitował w niewieście towarzystwo, nie można się tam inaczej było pokazać, jak zrzekając żaloby, bo margrabia tej manifestacji całego narodu, nie cierpiał. Jak skoro on objął rządy, sądził że powszechna nastąpić była powinna radość. Powtórę rodzina margrabiego nie wielkie miała w kraju stosunki i wcale ich nie poszukiwała. Godzi się też domyslać, iż biedne te niewiasty dźwigające z obowiązku jarzmo wielkości margrabiego, może nie rade mu były; ale jak kraj tak rodzina musiała spełniać wolę wszechwładnego despoty.

Zmuszona ukazać się z ciotką na jednym z wieczorów, Jadwiga w nadziei wyzwolenia Karola poświęciła nawet żalobę. Ale ubrała się tak, aby coś z niej pozostało. Miała całe ubranie czarne przyozdobione wstążkami purpurowemi, stroik czarny z ponsowym we włosach, i przepyszne kolje, branzolety, kolce i brosze z koralu, które ciotka niegdyś przywiozła była z Neapolu. Strój ten, który był jakby tą samą żalobą, wspomnieniem tylko krwi oblaną, bardzo jej przypadał do twarzy. Ciotka wzięła wstążki fioletowe, i tak

przybrane około dziewiątej pojechały do Brühlowskiego pałacu.

Już naówczas nie brakło około niego środków ostrożności. w bramie stała warta, policjanci i żandarini, w sieniach była także policja; nie wiem zresztą czy połowa licznój służby nie zrzuciła także na ten dzień mundurów zamieniając je na fraki. Salony jaśniały światłami, ciżba była wielka, a margrabia z zasępioną i chmurną twarzą, przechadzał się powoli tu i owdzie, rzucając słówka które najczęściej nazajutrz całe miasto obiegały. Były też one obrachowane i na ten obieg ukute zawczasu.

Trzeba było widzieć jak się rozpłomieniały twarze na które padł blask margrabiowskiego majestatu, z jakim uniesieniem gjęły się ramiona, chyliły plecy, jak nie przygotowani wysilali się na odpowiedzi, któreby pan Naczelnik mógł przekonać z przyjemnością. Jakkolwiek bowiem zarzekał się on, że popularnym być nie chce, a gdy mu mówiono o wziętości jaką pozyskiwał, odpowiadał, że zapewne głupstwo jakieś zrobić musiał, któremu ją winien; jednakże nieraz po cichu zapytywał i co tam o nim mówią i jak go sądzą, a pochlebstwo przyjemne na nim zrobiło wrażenie. Wstydził się tylko tej słabości i dogadzał jój za parawanem.

Jadwiga odwykła od takich obrzędowych przyjęć, od tego ceremonjału i wystawy, uczuła wielki ucisk serca znalazłszy się wśród ludzi, których większa część stała poza narodem i jego życiem.

Margrabia i jego rodzina bardzo ją przyjęli uprzejmie, w twarzach jednakże znać było i popodziw i niedowierzanie i jakby podejrzenie, że tu nie darmo przyszła.

Rozmowa była zrazu obojętną, margrabia ciągnął dalej swą pielgrzymkę po salonie, zapytywał tych których dawno nie widział, czy nie jeździli do Ameryki, innym wmawiał że musieli być chorzy, dając do zrozumienia że tylko choroba uwolnić ich mogła od złożenia uszanowania w Brühlowskiemu pałacu i t. p.

Jadwiga tymczasem, chcąc skorzystać z ofiary, jaką z siebie uczyniła (po cichu nazywała to małą podłostką), szukała oczyma kogoś, coby tu jęj mógł służyć za pośrednika do jedyne go interesu jaki miała na sercu. Ale znaleźć go jakoś nie mogła. Byli tu wprawdzie liczni jęj znajomi z koła paniczów hr. Alberta, Edward, Dunio, Micio, nawet pan Henryk Gros, ale żaden z nich nie wyglądał tu na bardzo poufałego i znaczącego. Pomyślała Jadwiga, że może najlepšíj by było

uderzyć wprost na margrabiego, ale sądziła zarazem, że przy pierwszej bytności prośba byłaby nieprzyzwoita, i postanowiła odłożyć ją na później. Nadspodziewanie wszakże inaczej się stało niż sądziła.

W czasie herbaty sam gospodarz raczył usiąść przy niej, wiedział on bardzo dobrze o wpływie, jaki Jadwiga i salon jej na usposobienie ogółu wywierać mogły, słyszał też o niepospolitych zdolnościach tej pięknej pani, chciał i jej dać uczuć swoją potęgę.

— Słyszałem, rzekł, że u pani bardzo wiele osób bywa, cieszy mnie to bardzo że się znown otwierają salony i ta dziecinna żałoba ustaje.

— O! u nas, odpowiedziała Jadwiga, wieczory są bardzo skromne i ciche.

— Umysł pani unieść je jednak bardzo powabnemi uczynić?

Tu przerwawszy jakby naumyślnie rosinowę, zaczął się przypatrywać wstążkom ponsowym, i rzekł dziwnym głosem:

— Pani, jak widzę, lubisz kolor czerwony, kolor czasu, kolor czasu...

W głosie, trochę szyderskim, intencją schwycić było można; Jadwiga się nieco zaponiiała



i niepowstrzymała od odpowiedzi równie znaczącej jak było pytanie:

— Słyszałam, rzekła, że pan nie lubi czarnego koloru, i dla tego ubrałam się czerwono...

— Symboliczny kolor, szepnął gospodarz, dziś go na sukniach za mało, ale podobno w głowach za wiele...

Jadwiga zaczerwieniała się mocno, nie zadłużyła się jednak w odpowiedzi.

— Czytałam niedawno w jednej książce, rzekła, o dziwnej chorobie oczów; są ludzie którym się czasem wszystko widzi czerwono, fioletowo lub zielono...

Rozmawiający spojrzał na Jadwigę, popatrzył długo i zaczął mówić zupełnie o czém inném. Ona sama wcale nie była rada obrotowi rozmowy, czuła że się nią margrabiemu wcale przypodobać nie może. Po chwili przypomnienie Karola skłoniło ją znowu do łagodniejszego zwrócenia się ku gospodarzowi domu, który przez chwilę milczenia cały talerz ciastek przed sobą stojący pochłonał.

Zaczepona powtórnie, i z pewnym przyciskiem o swój salon, i osoby które do niego uczęszczały, Jadwiga odpowiedziała że wiele z nich widzi w salonie margrabiego.



— Ale dużo też tam być musi, co nigdy progu mego nie przestąpią, odparł rozmawiający, bo słyszałem, nie wiem czy prawda, że pani nawet w cytadeli masz przyjaciół?

— I to może najlepszych, odpowiedziała żywo Jadwiga; za jednym z nich, dorzuciła natychmiast chwytając zręczność, miałam nawet prosić i błagać.

Na te słowa gospodarz się zmarszczył i odparł.

— To do mnie nie należy, rzecz to sądów wojennych, ja się w to nie mieszam...

— Ale przy tak wielkiej władzy i przeważnym wpływie, jakże by to łatwo przyszło jednemu słowem!...

Margrabia nie dał dokończyć, spojrzał na wstążki czerwone, i rzekł od niechcenia:

— Przyjaciół ten także musi lubić kolory jaskrawe, i to powiedziawszy szybko się oddalił.

Przykro drażnięta, Jadwiga nie dała jeszcze za wygraną, twarz jej płonęła niecierpliwością, widziała, że hr. Albert bardzo jakoś dobrze i poufale zdawał się tu postawionym; skinęła więc na niego, a ekonomista pospieszył na rozkazy z wielką radością na twarzy.

— Mój hrabio, rzekła mu Jadwiga, widzę, że masz tu lepsze stosunki niżelim się spodziewała,

zmiłuj się, pomóż mi w sprawie tego nieszczęśliwego Karola Glińskiego.

Hrabia Albert z wesołego stał się nagle bardzo jakoś zafrasowanym.

— Widzę, dodała Jadwiga, że z młodymi jesteś dobrze, zlituj się użyj twojego wpływu, ratujmy go, całe życie wdzięczną ci będę... całe życie... rzekła z głębokim uczuciem.

— Uczyniłbym to z największą przyjemnością, odpowiedział po cichu Albert, ale pozwolisz mi pani być szczerym?...

— Zdaje mi się, że tę cnotę moim przykładem szczepię w przyjaciółach, szepnęła Jadwiga.

— Więc się pani nie obrazisz gdy jęj powiem, że nie wiem prawdziwie dla czego, zobaczwszy panią w salonie, zaczęto przed chwilą mówić o pana Karolu...

Jadwiga się zaczerwieniła.

— Ani się dziwię, ani się gniewam za to, nie taje się wcale ze szczerą i żywą dla niego przyjaźnią, ale cóż tedy mówiono?

— Nie chciałbym pani zasmucić, mówiono właśnie w ten sposób, że się ztąd żadnej podobno pomocy i współczucia spodziewać nie można...

— Pewien pan jesteś tego? spytała wstając z krzesła Jadwiga.

— Najzupełniej... są nie przełamane uprzedzenia może... ale... są.

— Oddałeś mi pan swą szczerością prawdziwą przysługę, zawołała żywo, szczerść za szczerść, powiem panu że nigdybym tu nie przyszła gdybym nie miała nadziei ofiarą własnego upokorzenia okupić przyjaciela swobodę; uwalniasz mnie więc pan od wielkiej a nadaremnej przykrości, zabieram ciotkę, wynoszę się natychmiast i lżej odetchnę gdy się uczuję na progu tego domu, otoczonego tyłą żandarmami, a zapelnionego tak mundurowém towarzystwem...

— Za pozwoleniem, przerwał Albert, niech pani nie zapomina, że tych ludzi berkarnie się nie obraża! Że jeśli nie zechcą pomódz, to bardzo mogą zaszkodzić. Wiedzą już że się pani interesujesz tym człowiekiem, mogą więc na nim mścić się urazy jaką mieć będą do pani; jako dobry przyjaciel zalecam ostrożność...

Jadwiga wyciągnęła mu rękę i z uczuciem odpowiedziała:

— Dziękuję; dobrze żeś mię pan przestrzegł, nie trzeba nigdy zapominać, że mało jest ludzi coby sięgając wyżej, namętności się ludzkich wyrzekli. Mój Boże, dodała z westchnieniem, jakże

to boleśnie z tém pojęciem jakie się ma o wszelkiej wyższości, spojrzeć jój oko w oko, jakże boleśnie przekonać się, że w kolosalnych postawach większą gra rolę wysoki piedestał, niżeli same posągi. Zresztą, dorzuciła po chwili, swobodniejszém okiem rzucając po salonie, bądź hrabio spokojny, nie obrazę nikogo, ale już nie popełnię tego błędu, bym się po tych ludziach spodziewać czegoś miała. Patrz! rzekła, gdybyś do dramatu potrzebował karykatury salonu wielko-rządzczy, czyżby ten za doskonały wzór ci nie mógł służyć? Od razu widzisz, jak na złym teatrze, kto tu gra rolę siły, a kto ma rolę pokory. Jakże wybitnie oddziela się tu oliwa od wody, jak łatwo policzyć kto panuje a kto słucha! Patrz hrabio, co to za fizjonomie poprzyplaszczane, wysłodzone, ocukrowane z jednej, jaka buta i pycha z drugiej strony! Z jakim nadskakiwaniem i pośpiechem dworują ci panowie temu indyjskiemu bożyszczu!

Przerwała sobie uśmiechem, zwracając się do zafrasowanego Alberta i dodała:

— Przyznaj że mi, że i ten długi a chudy, i ten gruby a nadęty, doskonale by się przydali na ilustracje do Mahabaratty...

Albert był w bardzo przykrém położeniu, bo choć widział wiele rzeczy w tym salonie jak pan-

na Jadwiga, inaczej wszakże oceniał wielkiego męża, którego miał za istotnego messjasza Polski.

— Przepraszam panią, rzekł. będę niegrzeczny.

— Bądź pan niegrzeczny, byle szczery i otwarty.

— Pani, dodał Albert, masz do nich trochę urazy, sądzisz ich z powierzchowności i jesteś niesprawiedliwą, czy wielkim ludziom żadnych już wad mieć nie wolno? i czy z wadami nie już na świecie zrobić dobrego nie można? Mnóstwo znamy bohaterów śmiesznych. Ja, przyznaję się pani, wierzę w margrabiego, mimo karykatury jaką w nim widzę.

— A ja nie, odpowiedziała Jadwiga.

— Dla czego?

— Dla tego, że ludzie silni nigdy nie są uparci, i nie lekceważą prądów swojego czasu, które zużytkować a nie powstrzymać, jest zadaniem władzy, są to skazówki z których ona korzystać powinna.

— Powiedziałaś pani prawdę nader wielką, rzekł Albert zdumiony...

— Zapewne większą, uśmiechnęła się Jadwiga, niżeliś się pan po rozmiarze kobiecej głowy spodziewał?



Albert się zarumienił.

— Oh! cóż znowu! nielitościwie chwytasz pani za słowa!

Na tém skończyła się rozmowa, a Jadwiga powiódłszy okiem królowej po salonowej mozaice głów, skinęła na ciotkę dając jej znak, że pora nadeszła odjeżdżać.

Ruszono się grzecznie przeprowadzać, a hr. Albert szedł z niemi aż do powozu.

— Rada jestem, odezwała się żegnając go Jadwiga, że raz w życiu widziałam tę pocieszną scenę, która na wyższą skalę przypomina mi *Le bourgeois gentilhomme* Molièra, otrząśłam pył z nóg moich wychodząc z tego domu i więcój w nim pewno nie będę.

Nazajutrz po tych odwiedzinach, które bystremu umysłowi Jadwigi po samiej fizjononji towarzystwa dały przeczuć jego charakter, żadna już dla niej nie pozostała nadzieja, aby coś dla Karola przez wpływ tych ludzi uzyskać mogła. Powiedziała więc sobie, że trzeba innych szukać środków, innemi drogami starać się o jego uwolnienie. Jedną z najglówniejszych, którą wskazywało doświadczenie, była przedajność moskali. W krajach ucywilizowanych, najuboższy urzędnik czuje swą godność i wielkie obowiązki jakie nań wkłada społeczność, która mu dozór porządku i prawa powierza, przekupstwo jest tam rzadkie i przypadkowe, gdy w Rosji wszelki urząd ceni się tylko wedle dochodu jaki daje, a pierwszym celem mianowanego nań, jest wszelkiemi możliwemi środkami wyłudzenie sobie grosza. Władza jaką urzędnik posiada, służy mu tylko do ucisku i wy-

targowania nim z podwładnych co tylko z nich wyciągnąć można. Patrijotyzm rosyjski nigdy do kieszeni nie dochodzi, kieszeni nie panuje ani cesarz ani sumienie, kieszeń jest neutralną, kosmopolityczną, niezawisłą; nigdy moskal nie wyrzeczy się dochodu przez miłość ojczyzny. To też w bardzo ważnych sprawach nie ma wątpliwości czy się przekupić dadzą, jest tylko trudność w sposobie przekupienia, tak, aby wedle wyrażenia rosyjskiego, końce wpadły w wodę, i co do wysokości ceny. Moskal bowiem ma w przekupstwie pewien punkt honoru, nie weźmie mało znajdując że to uwłacza jego randze, a raz zobowiązawszy się, stara się dotrzymać słowa.

Panna Jadwiga choć nie bardzo wtajemniczona w te sprawy, czytała przecież Custina i przekłady Herzena, czytała Dołgorukiego gorzką prawdę o Rosji, wiedziała iż pieniędzmi niemal wszystko zrobić można, ale przy najlepszej chęci ofiarowania ich, nie mogła dojść ani przez kogo, ani komu skutecznie dać by je należało. Postanowiła wszakże zbadać te ciemne drogi, i choć ze wstrętem, użyć sposobu, który się jój zdawał jedynym. Rozmyślała tylko jak to rozpocząć, gdy przy wieczornój herbacie służący dał jój znać że w sieni czekał żołnierz Tomaszek.

— Mój Boże, zawołała do siebie, jest Opatrzność, ona mi sama go zsyła, nie przywiązywałam żadnego znaczenia do przyjścia tego biednego człowieka, teraz jasno widzę, że w tém było przeznaczenie, łaska Boża, która mi daje narzędzie do oswobodzenia go. Wszakże nie ma przypadków na świecie, wszystko jest tak urządzoném, tak aby coś oznaczało i do czegoś służyło.

Chwytając się téj myśli, kazała natychmiast prosić żołnierza do salonu, przygotowała dla niego herbatę, i wyprawiła służącego, aby swobodniej rozmówić się z nim mogła.

Tomaszek mizerniejszy był jeszcze jak pierwszą razą, skarżył się na chorobę, ale zarazem przyznał się że ona go od służby uwalniała i że był tylko do niektórych wewnętrznych posług w cytadeli używany.

— Więc ty widzisz tych biednych więźniów co są tam zamknięci? spytała panna Jadwiga.

— Eh, nie bardzo, bo to tam nie puszczają samego, dopóki czleka nie wypróbują, a mnie oni i tak nie bardzo wierzą. To się tam tylko roznosi jedzenie po korytarzach albo wodę. A no czasem, to i do którój celi puszczą, ale gadać do nikogo nie wolno, ani się téż człowiek ma czas bardzo tym biędakom przypatrzeć. Zawahał się

chwilkę, a potém oglądając, dodał ciszćj: czy się ono mnie przydało, ale jakim ja tam chodził raz, tobym przysiągł, że widziałem zamkniętego jednego pana, który tu był pierwszą razą u panienki i grzeczno bardzo ze mną roznawiał. Taki słuszny, ciemnych włosów, ale biedaczyna teraz i pobladł i posmutniał, a pewnie mnie nie zobaczył bo i oczów nie podniósł.

Jadwidze mocno serce uderzyło, silniój teraz jeszcze widziała w tém opatrność Bożą.

— A! nie mylisz się, rzekła, mój kochany, bardzo to pocziwe i dobre panisko. Ale pamiętaszże gdzie on siedzi i poznaszże go drugi raz?

— O! już to, nie chwając się, mnie Pan Bóg taką dał pamięć, że abym ino raz człowieka zobaczył, to go całe życie będę pamiętał, a i numer wiem, bom go sobie zapatrzył, a idąc tu, pomyślałem co by panience powiedzieć. Bardzo mi się tego człowieka żal zrobiło, bo oni wszystkich takich młodych to albo na Syberją, albo szłą w żołdacy, a już ta żołnierska dola dla delikatnego człowieka to ja wiem co ona jest. I westchnął biedaczysko.

— Tylko miłościwa pani, rzekł ciszćj, nie wydajcież mnie! nie wydajcie! com wam mówił,



bo by mnie oni, jak Bóg Bogiem, jak palcem kiwnął rozstrzelali.

— O! mój drogi, odpowiedziała uradowana Jadwiga, nigdy ja w życiu nie zdradziła nikogo, a tak ci wdzięczną jestem za twoje dobre serce, że ci chyba wypowiedzieć tego nie potrafię.

— Jakby panienka chciała, żebym ja jemu dobre słowo zaniósł, to ono by się mogło może tak jemu odpowiedzieć, że niktby mnie nie złapał, bo co pisania ani innych rzeczy to ani myśleć posyłać, człeka rewidują, a chowaj Boże by znaleźli, to śmierć.

— Jednakże, szepnęła Jadwiga, ja wiem, że tam nie raz papierki dochodzą...

— Chyba już ciż bardzo małeńkie, rzekł Tomaszek kiwając głową.

Tak rozpoczęta rozmowa ciągnęła się bardzo długo, bo Jadwiga rozpytywała się z najdrobniejszymi szczegółami o tę cytadelę, z której, wedle jej przekonania, nie była niepodobieństwem ucieczka. Kierowała jednak tak swoim badaniem, aby żołnierz celu jego domyśleć się nie mógł.

Tyle cudownych uwolnień czytała w książkach, a świeżo stała jej w myśli ucieczka którą w swych pamiętnikach opisał Orsini, że cytadela

nie zdawała się jej owém piekłem z którego wyjść już nie można.

Tomaszek odpowiadał bardzo roztropnie, a z całego toku jego uzaleń i mowy, czuć było takie znużenie, taką tęsknotę do wiejskiego życia, iż Jadwiga domyslała się, że obietnicą uwolnienia z żołnierskiej niewoli i osadzenia za granicami kraju na kupionym mu kawałku gruntu do największych ofiar pobudzić go będzie można.

Na ten raz jednak nie wypowiedała mu się ze swęj myśli; starała się tylko bliżej go poznać i wzbudzić w nim zaufanie.

Tomaszek tak się ożywił i ośmielił, że kilka słów skreślonych ołówkiem na małym zrzynku papieru wziął z sobą na próbę dla oddania ich Karolowi, a pierwszego wolnego dnia przyrzekł przyjść i przynieść jakąś o nim wiadomość.

Wynadgrodzony sówicie, napojony i nakarmiony, gdy już miał odchodzić Jadwiga zatrzymała go jeszcze.

— Słuchaj, rzekła, nie nad całą ziemią naszą moskal panuje, dużo naszych braci żyją pod Niemcami, nie bardzo tam lepiej ale trochę swobodniej. Któż to wie, gdybyś się potrafił wyrwać tylko, są ludzie coby ci pomogli ujść za granicę,

a tam znalazłby się może kawałek ziemi i chata i pokój święty.

Tomaszkowi aż oczy się zaiskrzyły.

— O, moja złota panienko! rzekł, coby to człowiek nie zrobił żeby tego szczęścia zakosztować, ale moskale jak dyzentera złapią to go nie rozstrzelują ale go tak w śmierć biją różgami, że nim człek umrze, to piekielne męki znieść musi... mięso kawałkami z żywego odpada...

— Przecież, odpowiedziała Jadwiga, dużo ucieka a mało kogo łapią, a są dobrzy ludzie co w takim razie ratują...

— Ono to aż straszno gadać, rzekł Tomaszek, ale jak się człeku taka nadzieja uśmiechnie, to mu już spokoju nie da, wciąż ino na myśli ta chatynka, ten ogródek, jakby się ono tam żyło — po Bożemu, gdyby tę moskiewską zrzucić obróżę.

— Otóż, szepnęła Jadwiga, myślcie to sobie a kto wie może i wyśnicie na prawdę.

— Aby nas kto tylko nie słyszał, rzekł Tomaszek.

Z tém się oboje rozeszli w nadziejach.

Tomaszek powróciwszy do cytadeli, inaczej się w niej poczał rozpatrywać, najważniejsza teraz rzecz oka jego nie uszła, a że się łatwo domy-

ślał iż chodziło głównie o pomoc temu więźniowi, znalazł sposób i oddania mu kartki i przyniesienia papieru z ołówkiem i zabrania odpowiedzi. Nie zawsze wprawdzie mógł wyjść na miasto i dowiedzieć się do panny Jadwigi, bo częstsze wycieczki podejrzenia obudzićby mogły, szczęściem oficerowie będący na straży, potrzebowali mnóstwo rzeczy z miasta, które nie każdy żołnierz umiał kupić zręcznie i tanio.

Tomaszek spowiadając się ze wszystkiego pannie Jadwidze, napomniał jej i o tém. Dała mu ona pieniędzy, aby mógł, dokładając, nieco tanić i lepiej robić sprawunki. Z tego powodu, nie obudzając podejrzeń, Tomaszek był głównie do przesylek używany, a przy każdej zręczności dobiegł do swęj pani, aby jej coś o więźniu powiedzieć. Tymczasem innemi także drogami starano się dość bezskutecznie o uwolnienie Karola, a czyniąc te starania, dowiedziano się iż na niego szczególnie zwrócona była uwaga, że go miano za bardzo niebezpiecznego człowieka i oswobodzenie przysłoby z wielką trudnością. Tém bardziej więc potrzeba było obmyślać środki inne, nimby go na wygnanie skazano i wywieziono.

Jako krewna, z ciotką Karola pocziwą kobieciną, żoną małego urzędnika przy magazynach



solnych, przedsięwzięła panna Jadwiga odwiedzić więźnia, napróżno ciotka widząc w tém straszną kompromitację, starała się ją od tego odciągnąć.

— Duszo moja, wołała ręce łamiąc, co świat powie! co świat powie! będą gadali że ty się w nim kochasz! rozplotą! oczernią!

— Moja ciociu kochana, odpowiedziała Jadwiga, jeśli powiedzą że go kocham, to bynajmniej nie skłania; ani chcę, ani myślę się z tém taić. Zresztą wszyscy ci panowie co się dobijają mojej ręki i mego posagu, gdybym nawet wprzód kochała dziesięciu i była najstraszliwiej skompromitowaną, są, z pozwoleniem tak podli, że na wszystko by oczy zamknęli byle im za to zapłacić. Uśmiechnęła się gorzko i dodała: o tém doprawdy i myśleć nie warto, zamaż iść nie myślę, a gdyby mi fantazja przyszła, wybiorę którego zechcę, i każdy się ze mną ożeni.

— Ale cię zniesławią, mówiła ciotka.

— Pocieszę cię cichém świadectwem mojego sumienia.

Nie można było żadną miarą odciągnąć ją od raz powziętej myśli odwiedzenia Karola. W ogóle przystęp do więźniów zamkniętych w cytadeli, zawsze był i jest dosyć trudny. Nie każdego dnia wpuszczają, nie zawsze upragnione pozwo-



lenie otrzymać można, a mając je nawet, tyle przykrych formalności przechodzić potrzeba. aby na chwilę przy świadku zobaczyć twarz wybladłą, posłyszć wyraz obojętny, że ta radość i drogo jest okupioną i na wpół staje się męczarnią.

Pocziwa ciotka Karola, choć siostrzeńca kochała bardzo. miała w domu tyle do czynienia z sześciorgiem własnych dzieci, ze swém ubóstwem, i z dosyć nie ciekawym mężem, że w jej sercu mało było miejsca dla dalszej rodziny, a w życiu mało czasu na opiekowanie się nią. Jadwiga musiała jej pomagać, zachęcać, chodzić i posyłać, dopóki to pozwolenie wyrobili. Z tą kobięciną która pod naciskiem troski codzienniej tylko o swym mężu, dzieciach i kłopotach mówić umiała, pojechała skromnie ubrana Jadwiga do cytadeli, którą dotąd tylko zdala widywała.

Serce jej się ścisnęło wjeżdżając w te mury, między którymi nigdy litościwe nie zabrzmiało słowo, o które tyle miłosierdzia zebrzących napróżno obilo się głosów. Wszystko na co patrzała, dozwalało jej się domyślać, że to co było skryte i niewidoczne, straszliwem być musiało. Nie tyle jednak mury, co twarze ludzi mówiły, każda z nich nosiła na sobie piętno nikczemnego służalstwa i zezwierzęcenia. Po długim oczekiwaniu,

po przecierpianych bolesnych wejrzeniach tój tłuszczy, która unieć we wzroku zamknąć obelgę, wprowadzono je nareszcie do sali, do której nie rychło wszedł biedny Karol z żołnierzami. Starszy oficer jak zwykle przytomnym był rozmowie, ciotka która nie widząc Karola dość stoicznie cierpienie jego znosiła, na widok bladłej twarzy pierwsza się rozplakała. Jadwiga choć drżąca i zmieszana, udawała spokój, a nawet trochę wesela, aby mu swym smutkiem nie powiększyć tego który miał w duszy.

Karol choć blady, bo i ludzie i kwiaty blednieją w zamknięciu, miał postać mężną i czoło wypogodzone; usta się jego uśmiechały, a Jadwiga znalazła go stokroć piękniejszym niż kiedykolwiek. Gdy go wyprowadzono z więzienia, nie domyślał się wcale tego szczęścia które go spotkać miało; widok Jadwigi przejął go nadzwyczajnie, ale musiał hamować uczucie ażeby jej nie zdradził. Znając położenie i stosunki Jadwigi, potrafił ocenić ofiarę jaką dla niego uczyniła, domyślił się trudności, jakie zwalczyć musiała, na chwilę zapomniał że jest więźniem i zdawało mu się, że to piekło w raj się przeistoczyło.

Tyle też tylko pociechy ile jej oczy dać mogą, ile spojrzenie w serca wleje. Wzrok swo-

bodny mówi niezrozumiałym dla zbirów językiem, gdy z ust mogą tylko popłynąć wyrazy obojętne i omijające prawdę. W obec urzędnika każdy więzień musi się wyznawać prawie szczęśliwym, być zadowolonym ze wszystkiego, oczyma tylko wolno mu się poskarżyć i wejrzeniem przeklinać. Odwiedziny te w cytadeli, których długość ściśle była obrachowaną, bo iluż to biednych czekało na taką chwilę roznowy, wydały się Jadwidze mgnieniem oka, wyszła z nich smutniejszą, pograżoną w myślach, jak gdyby cały zapas męstwa i spokoju oddała więźniowi, który powrócił do swęj celi w istocie pokrzepiony i weselszy niż z nięj wyszedł. Komu innemu może ten krok kobiety byłby zuchwałe poddał nadzieje, Karol czując żywą wdzięczność, nadto był może dumny, aby myślą sięgnął w ten świat nad który czuł się wyższym choć on go nie pojmował. Ale ocenił serce Jadwigi i zrozumiał lepiej tę kobietę, która, nie w słowach tylko, ale czynem uczucia dowieść umiała, i powiedział sobie, że jeśli żyć będzie, nigdy serce jego dla innęj nie uderzy, że oddalony pozostanie jęj wiernym do zgonu.

Ciotka z niezmierną niecierpliwością, modląc się, oczekiwała powrotu wychowanki, a gdy Jadwiga weszła zarumieniona, wzruszona, rozgo-

rączkowana tem wszystkiem co widziała, ciotka ścisła ją jakby z najdłuższej wróciła podróży.

Nazajutrz Tomaszek przyniósł karteczkę tak rzewnie wdzięczną, tak widocznie sercem pisaną, że Jadwiga zawstydzila się prawie iż tak małą ofiarą. mogła takie obudzić uczucie. Ucałowawszy tę kartkę razem z innemi, złożyła je na sercu i o niczem już nie rola tylko o oswobodzeniu Karola.

Tomaszek, przed którym ukryć nie mogła wrazenia, jakie na niej każde jego przybycie czyniło, domyślał się już jaki tajemniczy węzeł wiązał biedną panienkę z tym smutnym więźniem, który się doń z takim uśmiechem dobrotliwym, za każdym przyjściem jego obracał.

— A wie panienka, rzekł, że ja panią w cytadeli widziałem, anom, z początku nie poznał, dopierom się już na pewno domyślił, jakim się dowiedział że panicza do sali poprowadzili.

— Gdzieżeś ty mnie widział? spytała Jadwiga.

— Ale na dziedzińcu, szedłem z tacą i imbryczkami, com się prawie o panienkę otarł, tylkom się nie kłaniał, bo niechże Bóg zachowa żeby się oni dowiedzieli o moich znajomościach w mieście!!



— A boisz ty się ich bardzo? spytała zamyślona Jadwiga.

— Bogać by się ich kto nie bał, rzekł Tomaszek spuszczać głowę, srogieć to bestje, jak by Boga nad nimi nie było, ale jak się człek z nimi obędzie, to tak i widzi że to ledwie okrzęsane niedźwiedzie. Ludzkim rozumem, a z pomocą Bożą to się człowiek zawsze z nimi da radę.

— A nie słyszałeś też, z obawą i bijącym sercem podrzuciła Jadwiga, czy też kto z tych biedaków, co ich tam tylu trzymają, nigdy z tego więzienia nie uciekł?

Tomaszek, nie odpowiadając nic, pochwycił się za głowę, spojrział na panienkę przestraszony, i nie rychło wybąknął.

— Jeszcze pono nigdy tój praktyki nie było, boć to człeku i na myśl nie przyjdzie z pod tylu ryglów się wydostać.

Panna Jadwiga tą razą nie nalegała nań bardzo, ale żegnając go powiedziała mu tylko:

— Pamiętajcie, mój Tomaszku, że jak mi temu panu dobrze służyć będziecie, to już ja w tem, że wam chatę i kawał ziemi w spokojnym kącie, gdzie moskiewskie nie dojdzie oko przygotuję, i będziecie tam siedzieć resztę życia jak u Boga za piecem.



Tomaszek w rękę ją pocałował. rozezulony.

— A! moja złota panienko, rzekł, gdybyć to prawda była! ale się to człeku we łbie nie mieści takowe szczęście. A gdzieżby to dostać takięj chaty i gruntu żeby za nie nie nie płacić, i z nich nie nie robić?

— Już ja ci taką wynajdę, tylko mi posłużcie mój Tomaszku.

Gdy w kilka dni później żołnierz nadszedł znowu, zdumiała się panna Jadwiga jego zamysłonęj twarzy, widać było po nim, że mocno brał na rozum i nad przełamaniem wielkięj jakiejs trudności pracował. Gdy wszyscy odeszli, a w salonie tylko została ciotka nad robotą w kątku, a Tomaszek z Jadwigą u drzwi, żołnierz po cichu sam rozpoczął rozmowę.

— Od téj pory jak mi panienka powiedziała o téj chacie, we dnie i w nocy chodzi mi po głowie, a takem sobie już ją zbudował, że wszyscyutkie znam kąty, a serce mi się do nięj tłucze aż człek głupieje. Z przeproszeniem panienki, pokusa straszna jak szatańska. Radaby dusza do raj, ale grzechy nie puszczaają. Już ja się domyślam o co tu sprawa chodzi, ale kięj do djabła trudno!!

Jadwidze znowu serce bić mocno zaczęło. Trochę nadziei błyskało w jęj oczach, ale jak się

tu było spuścić na takiego Tomaszka, którego roztropność w tak trudnej sprawie starczyć nie mogła? Nieznajomość miejsca i warunków nie dozwalała mu dopomódz i wskazać środki, trzeba było zdając się na opatrność zaufać niesłychanemu szczęściu i tej zarozumiałości moskali, która im nawet domyślić się nie dopuszczała, że ktoś może powziąć zamiar ratować się z cytadeli ucieczką.

— Ja to już, proszę panienki, rzekł po chwili Tomaszek, troszka se namotałem jakby to ono zrobić się mogło, ale gdyby się człek i odważył na te sprawę, to tak i straszecznie ciężko. Niech no tylko panienka uważnie posłucha co ja powiem. W tym samym pułku co i ja służy moskał, het z głębokiej moskiewszczyzny, i choć moskał, ale to niby nie ich wiary człowiek, ale z tych co to ich starowierami nazywają. Może panna słyszała, a może i nie słyszała, co oni mają swoich księży i swoje cerkwie osobne w lasach i inaksze nabożeństwo, a jak moskale pospolici i ich nie lubią tak oni się też niemi brzydzą. To tak jak u nas unitów proszę panienki tak ich tam gwałtem do tej cesarskiej cerkwi nawracają. Ale choć ich niby nawrócą zawsze, taki oni swoją wiarę trzymają. Ot choćby i ten o którym mówię, to

niby taki moskał jak i drudzy, ale już woli nas katolików jak tę syzmę. To my się z nim bardzo poprzyjaźnili. I on mnie powiadał, że jakoby gdzieś pod Prusakiem, za granicą, są całe wioski jego braci i tak mnie macał że to ja tutejszy, czyby my razem nie drapnęli. Otóż, dodał Tomaszek, (to tylko bieda że ja muszę bardzo długo gadać, ale inaczć to by panienka niezrozumiała), ten moskał, Nikifor, jest bardzo rozumny człowiek, bez niego ja w tćj sprawie nie bym nie poradził, a jak on się w nią wda, to chyba wszystko się dobrze zrobi...

Jadwiga zamyśliła się nad tćm bardzo, czy bezpiecznie było tylu ludzi do tajemnicy przypuszczać, obawiała się zdrady, umyślnćj lub przez samą niezgrabność, mogąćj wydać wszystko. Nie odrzucając więc ofiary Tomaszka, zażądała widzieć tego Nikifora, który mógł być wybawcą Karola. Ale potrzeba było, nie mówiąc mu nic, sprowadzić go pod jakimś innym pozorem.

Tomaszek wziął to na siebie, i następującćj niedzieli przyszedł z niemłodym już mężczyzną którego uderzająca fizjonomija pełna powagi i surowości przypominała, mimo ohydneho munduru, pustelników i ascetów. Jakiś głęboki smutek, którym piętnuje niewola, oblewał jego lica, a na

czole wisiąca, jak chmura, troska która się na niem głębokimi marszczkami wyręła.

Tomaszek prowadząc Nikifora, musiał mu wprzód nagadać o swoich paniach, o ich stosunkach i przemożności, zapewnić go że one jedne ucieczkę im obu ułatwić mogą, a nigdy w świecie by ich nie zdradziły.

Nikifor długo się wahał, ale przywiązany do swęj wiary i mnóstwa ze starego zakonu wziętych jęj obrzędów, taki miał wstręt i obrzydzenie do otaczającego żołnierstwa, tak pragnął się wydobyć i połączyć ze starowiercami, którzy pod panowaniem pruskim szukać musieli swobody sumienia, że wiedziony nadzieją poszedł z Tomaszkiem do jego pani.

Rozmowa ze starym żołnierzem była nadzwyczaj trudną dla panny Jadwigi, nie umiała ona po rosyjsku, żołnierz ani słowa po polsku, Tomaszek zaś który za tłumacza służył, prócz służbowego języka, nie wiele moskiewszczyzny posiadał. Jednakże szło to choć kulawo i wzięwszy Boga na pomoc, Jadwiga musiała wyrzec wielkie słowo, że szło o ucieczkę więźnia z cyta-delli i że okupem jego miało być nietylko bezpieczne przeprowadzenie starowierca za granicę pruską, ale dosyć znaczna summa pieniężna.



Moskał się na to uśmiechnął.

— Wyście przywykli, rzekł, do tych co pieniądze biorą, ale myśmy nie z takich, mam ja swoich dosyć pieniędzy od moich braci, a co mi po nich kiedy swobody nie mam, kiedy się na plugawe życie tych pogan patrzeć muszę? Pieniędzy, dodał, za duszę ludzką ja nie wezmę, ale za swobodę dacie mi swobodę.

Wyrzekł to z taką powagą, z takim uczuciem, że panna Jadwiga uczuła dlań poszanowanie i powzięła w nim ufność. Już następnie łatwiej się było o resztę układać, ale i staremu Nikiforowi przedsięwzięcie wydało się bardzo trudnem. Znał on dobrze cytadelę, wszystkie jej przejścia i wchody, warty i strażę, i według niego jeden był tylko środek wyjścia — przebranie w mundur żołnierski. Należało jednak urządzić się tak aby nie rychło postrzeżono ucieczkę. Wybrać godzinę stosowną, okoliczności sprzyjające, a wykonać szybko i odważnie.

Żołnierz także utrzymywał, że na jeden raz ucieczka w ten sposób udać się mogła i obiecywał pokierować wszystkém. Nie stanęła jednak umowa ani o dzień, ani o szczegóły, gdyż wiele wprzód przygotowań poczynić musiano. A na-przód uwiadomić i przysposobić Karola. Dostać



pasporta, rozstawić konie, zamówić kryjówki dla uciekających w razie gwałtownej pogoni. Wszystko to spadło na jedną Jadwigę, która natychmiast po przyjaciela Karola, odprawivszy obu żołnierzy, posłała.

Mimo obawy, gdyż w razie pochwycenia i żołnierze i więzień i ci co do tego pomagali, życiem to opłacić mogli, Jadwiga miała jakąś otuchę, że się to wszystko udać musi. Wieczorem nadszedł zawołany Młot. Było kilka jeszcze osób w salonie, ale go zręcznie panna Jadwiga pod pozorem jakichś książek w drugi koniec salonu odprowadziła. Zdumiało ją to, że na twarzy młodego chłopca postrzegła niby cień jakiegoś chłodu i nieufności.

Młot, jak wiele jemu podobnych, zawsze bogatszych i stosunkami związanych z arystokracją, posądział. A że świeżo rozeszła się była wieść o bytności panny Jadwigi w Brühlowskiem pałacu, nieufnym okiem spoglądał na pannę Jadwigę. Nie domyślając się tego weale wprost przystąpiła do rzeczy.

— Kazałam pana prosić, rzekła. bo mi jest jego pomoc potrzebną w bardzo ważnej sprawie.

Młot ledwie na ustach mógł powstrzymać pytanie, czy nie myślała być pośredniczką między stronnictwem ruchu a Wielopolszczykami; ukąsił

się jednak za wargi i milczał, ale jakiś ironiczny uśmieszek igrał mu na twarzy.

— Boję się, żeby nas nie podsłuchano, mówiła Jadwiga, udawaj pan, że ciekawie przepatrujesz książki, ja tym czasem mówić będę. Wiesz pan, że jestem przyjaciółką Karola, że kocham go jak brata, Karol jest wam wszystkim potrzebny, nieprawdaż?

Młot jeszcze niedowierzając, niedomyślając się do czego to zmierza, skłonił tylko głową potakująco.

— Trzeba uwolnić Karola, mówiła Jadwiga, nie śmiej się pan, jam wprowadzić słaba kobieta, ale mam wrodzoną przebiegłość córek Ewy; otóż jeszcze raz proszę, nie śmiej się pan. Zyskałam już sobie dwóch żołnierzy z załogi w cytadeli, którzy mi do tego dopomódz mają i ucieczkę ułatwić. Rzecz jest niesłychanie trudna, ale przez to samo nikt nawet na myśl tego projektu wpaść nie może. Obu żołnierzy w nagrodę tego poświęcenia potrzeba wykraść za granicę. Jednemu z nich przyobiecałam gospodarstwo gdzieś na polskiej ziemi, ale nie pod moskiewskim panowaniem; drugi moskal starowierzec chce się dostać do Prus do swobodniejszych swoich braci...

Mówiła to szybko, patrząc niby w jakąś

książkę jakby rzecz najobojętniejszą. Młot ledwie uszom swym wierzył, stał przed nią zdumiony i zawstydzony, tak, że z początku odpowiedzieć nawet nie umiał, krew oblała mu twarz, chciałby był móżdż paść do nóg tej kobiecie, którą tak nieśluszenie posądzal. Łzami nabrzmiały mu powieki, pochwycił jej rękę i począł ją całować, a Jadwiga spadając na nią łzę poczuła. Po chwili dopiero podniósł głowę, spójrzał, rozśmiał się i rzekł.

— Pani jesteś świętą, słów mi braknie, mów rozkazuj, a choćby życia dla ciebie nie pożalujemy.

— Ale naprzód uwolnijmy Karola, rzekła żywo.

— Wszystko się to ułoży, rzekł Młot, o jedną tylko rzecz proszę, więcej o tem słowa nikomu. Żołnierzy choćby do Chin bezpiecznie przetransportujemy. Nie wątpię ja bynajmniej o ich dobrej woli ale radbym się przekonać czy roztropność odpowiada chęciom, chciałbyin ich zobaczyć.

— Miarkujesz pan, odpowiedziała Jadwiga, iż oni się obawiają i także by z jak najmniejszą liczbą osób do czynienia mieć chcieli; ale ponieważ się pan na mnie zupełnie spuścić nie chcesz, gdy tu przyjdą w niedzielę, bądź gdziekolwiek ukryty abyś rozmowę wysłuchał.

— Dziwny to jednak skład okoliczności, rzekł

po chwili młody człowiek, bo właśnie odebraliśmy z cytadeli pewną wiadomość, że biednemu Karolowi co najmniej to wygnanie na Sybir zagraża. Niewiem z kąd nabrano tego przekonania, że wpływ Karola był bardzo znaczny. Mają go za wielce niebezpiecznego. i choć żadnej jeszcze winy nie znaleźli, za samych kilka książek które zabrali u niego, mają go sądzić albo w żołdactwo lub co najmniej na osiedlenie w oddalonych gubernjach.

Jadwidze rumieniec niepokoju wystąpił na lica.

— Trzeba więc przyspieszyć, rzekła, jeśli macie jakie środki starajcie się naprzód ułożyć z nim czy się na ucieczkę zgodzi.

Młot wziął wszystko na siebie i wybieg uszczęśliwiony, Jadwiga cały ten wieczór tak znacznie była weselszą, że i ciotka, która powodu dobrego humoru odgadnąć nie umiała i hr. Albert uradowali się tą niespodzianą zmianą. Posądzono biedną o jakąś skrytą zmianę w uczuciach, którym tylko płochę serca ulegają.

W kilka dni potem, stary żołnierz stawiał się sam bez tłumacza, a Młot mógł być przytomny rozmowie udając brata Jadwigi. Przez ten czas, który ubiegł od ostatniego widzenia się, Nikifor osnuł już cały plan ucieczki, dnia tylko nie było



można oznaczyć, gdyż wybór jego zależał od tego jaki pułk i jaki bataljon miał być na straży w cytadeli. Krótko zabawiwszy żołnierz odszedł, a Młot opowiedział Jadwidze, że Karol o projekcie był już uwiadomiony, ale mimo znużenia więzieniem jakoś się wzdragał od tego niebezpiecznego kroku, sądząc, że i tak powinien by być wolnym. Namowy przyjaciół i odkryty mu dekret jaki go czekał, skłoniły nareszcie, że ucieczkę przyjął.

W chwili, gdy już tak wszystko składać się zdawało najpomyślniej, w umyśle Jadwigi zrodziła się wątpliwość i srogi jakiś niepokój. Teraz dopiero ochłonawszy z pierwszej gorączki chwyciła ją za serce obawa, ażeby rzucając się na niebezpieczne przedsięwzięcie nie naraziła Karola, na los daleko straszniejszy niżeli ten jaki go mógł spotkać, gdyby sprawa szła drogą zwycajną. Któż wie, myślała a nuż go pochwycą? nuż złapią? cóż mi pozostanie w razie nieszczęścia, które zgotuję mu własnemi rękami?

Jednego dnia te obawy tak się stały dokończliwemi Jadwidze, że chciała już posłać po Młota i wyrzec się wszystkiego. Wszakże uspokoiła się nieco, gdy wieczorem przybyły przyjaciel Karola zapewnił ją najuroczyściej, że przez swe stosunki w cytadeli zbadał jak najściślej cały plan i może



być prawie spokojnym, że się to udać musi. Przestrzegł zarazem Jadwigę, że po ucieczce nastąpi jak najściślejsze poszukiwanie jej sprawców, że i w domu Jadwigi może być rewizja i badanie, że każdy jej krok śledzonym będzie.

Oto się ona jednak jak najumięiej troszczyła i uśmiechnęła się, gdy Młot sądził, że się ulęknie.

— Bądź pan spokojny, rzekła, cierpieć potrafię i milczeć potrafię. Gdybym w więzieniu jednego z tych co czynni być mogą, zastąpić mogła, jakże bym była szczęśliwa. Ale niestety! nas nawet do więzienia nie biorą!!

Nie przewidywała, mówiąc to, że świętokradzkie zuchwalstwo moskiewskie targnie się na święte niewiasty nasze, że i one pójdą okute w łańcuchy z pogolonemi głowami w Sybirskie stepy, że matki rozdzielią od córek, żony od mężów, że łącząc bezedne obelgi do ohydnych czynów, Moskwa się splami nieposzanowaniem kobiecy jak się zbezczeszcza splugawieniem kościołów!

Nie przeczuwała, że stała u progu téj strasznej chwili, której podobnej nie mają dzieje, że wkrótce roztoczyć się miały przed oczyma ludzi owe obrazy wyuzdanego szaleństwa dziczy, którym przyszłe lata wiary dać nie zechcą. Nie jeszcze naówczas nie znamionowało tego rozpa-

sania bezwstydnego z którym Moskwa rzucić się miała na nieszczęśliwy kraj nasz, jak gdyby sama chciała między sobą a Polską wykopać przepaść pełną krwi, trupów, i popiołów, której nigdy nie zappełnić nie potrafi.

Dziwna rzecz, wieść o śmierci Mikołaja nappełniła wszystkich jakąś radością, jakby z tą chwilą rozpocząć się miała era nowa, sam on podobno prorokował niedołącznemu synowi, że po jego tyranji łaskawszym będzie mógł okazać się dla znękanych ludów; ale czem że jest owo panowanie Mikołaja, owo nieśmiałe jego okrucieństwa obok tego systematycznego prześladowania, którego sprawcą już nie jeden Czar, ale cały naród zepsuty i zezwierzęcany despotyzmem? Któż naówczas mógł przewidzieć krwawą zorzę, która téj nocy świeciła Polsce?

*Koniec tomu pierwszego.*



Lipsku: Drukiem A. Th. Engelhardta.

Biblioteka Raczyńskich

JIK 554



JIK0554

WVWV